



H. KRASZEWSKI
BANITA

WYDAWNICTWO M. ARCTA w WARSZAWIE

PRINTED IN POLAND

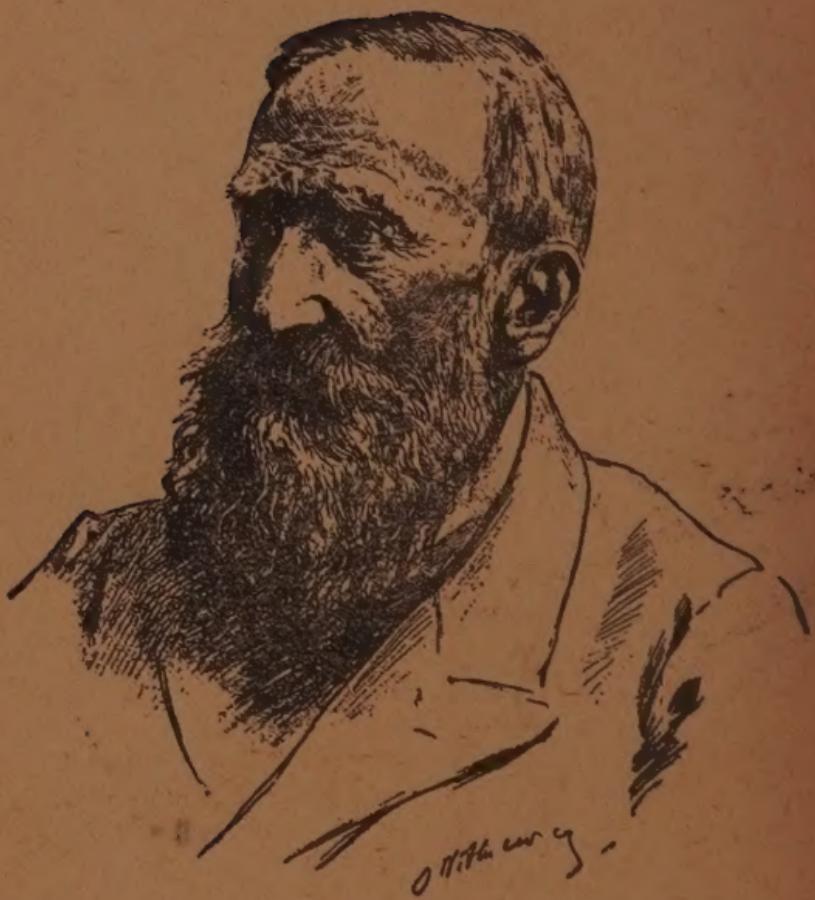
BIBLIOTEKA WIELKICH PISARZÓW

SERJA I: J. I. KRASZEWSKIEGO POWIEŚCI HISTORYCZNE

10 TOMÓW KWARTALNIE

B A N I T A

M. ARCT, ZAKŁADY WYDAWNICZE, SP. AKC. W WARSZAWIE



O Mistrzu

JAK

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

ur. 1812 r. † 1887 r.

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom L

J. I. KRASZEWSKI

BANITA

CZASY BATOREGO

CZEŚĆ I



1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNAKOWSKA 225



I.

Niemal do końca żywota swojego Rzeczpospolita szlachecka stała obozem cała, to też nasze dwory i domy, w większej części z drzewa klecone, tymczasowo i niedbale budowane były. Wiele się na to przyczyn składało, a naprzód nawykniecie, które najazdy i ciągła do wojny gotowość wyrobily.

Szlachcic przedewszystkiem żołnierzem był, na zwołanie na koń siadać musiał... nie gnieździł się więc stale, a znaczna część kraju, na najazdy wystawiona, często ze dworów w lasy i niedostępne trzęsawiska, te twierdze swe jedyne, uchodziła. Dawnym obyczajem więcej łożono na ruchomości kosztowne, które się przepośać dawały z miejsca na miejsce, niż na siedziby wytworne...

Szlachcic na jednej wioszczynie więcej się jeszcze do strzechy przywiązywał i o nią troszczył, bo ją tylko miał. Wielcy zaś panowie z rezydencji do rezydencji k'woli swych interesów, upodobań i stosunków wędrowali.

Zachodziły wozy i sprzęt wszelki ciągnął długim sznurem za panem, albo go poprzedzał. Ławy i stoły znajdowały się wszędzie po dworach, a co potrzebne było do przybrania, ciągnięto za sobą. Kobierce, opony, naczynie, sprzęt drobny przenosił się łatwo z miejsca na miejsce...

Od mieszkań też nie wymagano wiele, byle dach nie zaciekał, a piece i kominy nie dymiły. Zimą w tych grubach noc i dzień stróżę drzewa dokładali, śpiąc przy nich nawet... W XVI wieku rzadki był dwór pański

ski, z wyjątkiem zamków na krakowskiej ziemi, któryby wygodnym i pokaźnym mógł się nazywać. Na lada jakiem podmurowaniu lub i bez niego, na mocnych podwalinach, z grubych kłów ułożone ściany z wysokim dachem, najczęściej bez piętra stanowiły pańską siedzibę, mniej więcej rozległą. O powierzchowność wcale się nie starano, aby ją ozdobną uczynić. Chorągiewka z herbem na szczycie stanowiła czasem jedyną ozdobę.

Drzewo było prawie wyłącznie używanym materiałem, już dlatego, że o nie najłatwiej było, a każdy wieśniak cieślą był, a lada kto budowniczym, — już dla tej wiary, że w murach, choć suchych, powietrze nigdy zdrowem być nie może.

W czasach, o których mowa, w wielu zamkach królewskich nie było podłog i zastępowały je tokowiska, skoble i zamki u drzwi proste, stropy z belek i z tarcic układane. Cóż dopiero po szlacheckich dworach?

Gospodarz na siodle lub na dyszlu większą część życia spędzał, a gdy do chaty powrócił, nie potrzebował żadnych wymyślnych przypraw, aby mu ona smakowała.

Zbytek był w odzieży, uzbrojeniu, w jadle i napojach, ale go w mieszkaniach nie było... Dlatego nam tak mało pozostało z nich pamiętek... Lada nieostrożna iskierka obracała te gniazda w perzynę.

Obozował też pan i szlachcic niemal przez życie całe i kaleka chyba a nieudolny starzec domu mógł pilnować. Kto nie był żołnierzem, służyć musiał jako urzędnik i z miejsca na miejsce się przenosić. Zjazdy też częste, narady, komisje spoczywać nie dawały. Stajnia każdego czasu zaopatrzoną być musiała w konie i wozy, aby na zwołanie pana ze dworem przenieść, gdzie kazał...

I wszystko potrosze w domu do tego rodzaju życia się zastosowywało. Śpiżarnia gospodyni w zapasy była zaopatrzoną zawsze, aby bez nich pan w podróż nie ruszył. Nie było dworu bez namiotu, bo i takie wy-

cieczki się trafiały, w ciągu których na gospody i dwory wcale rachować nie było można...

Nawyknienie do tego ruchliwego życia czyniło je nie tylko znośnem, ale nawet niejeden tęsknił za niem... Siedzącego i spokojnego żywota szlachcic nie znosił, a nie wystarczała mu gospodarka, ani łowy, którymi się rozerwać usiłował.

Pomimo tego ruchu na gościńcach, można powiedzieć, że gospód aż do ostatnich czasów tak dobrze, jakby nie było. Służyły one tam tylko, gdzie stały osamotnione, od wsi i osad oddalone, szlachcic bowiem zajeżdżał do dworu, a duchowny do księdza.

Niemal ubliżającem dla gospodarza i dziedzica było, gdy kto, nawet zupełnie nieznajomy, pominawszy dwór, do gospody pociągnął. Po miastach i miasteczkach mnogie klasztoru dawały chętną gościnę.

Karczma też przeważnie służyła dla chłopa tylko, dla łyków, dla włóczęgów, dla gawiedzi tej, która do szlacheckiego świata nie należała.

Wyjątkowo jednak, w głębi lasów, w bezludnych stronach, gdzie od wsi do wsi zbyt długo bez spoczynku jechać było potrzeba, przemyślny Izraelita urządził przystań dla podróżnych... Główną jej część stanowiła szopa ogromna, przytułek w czasie słoty, i druga izba, niemniej obszerna, gdzie się wszyscy, jak Bóg dał, mieścić musieli...

Wielkie dwory, nadciągające, obejmowały wszystko pod władzę swoją; mniejszy ludek godził się u jednego stołu i pod jednym dachem. A że każdy mniej więcej wiózł z sobą wszystko, czego mógł potrzebować, i nie spodziewał się dostać po drodze, gospoda taką nie zaopatrywała się w wymyślne zapasy dla podróżnych. Najczęściej, oprócz wody, nic w niej dostać nie było można.

Taką przystanią w puszczaach Sandomierskich, ku granicy Krakowskiego przypierających, była znana wszystkim przeciągającym tedy karczma stara, zwana Borówką.

Powierzchowność jej świadczyła, że mnogie już la-

ta przetrwała, osłonięta lasami, zabezpieczona od wicherów i burzy. Ściany jej z dwu stron już popodpieńca musiano, dach się pogarbił i porost zielono, pomiedzy zeszłem drzewem szczeliny czarne w próchniejących miejscach przepuszczaly wiatr i słoty...

Stała samiuteńka jedna, żadnej nawet szopki i kleci nie mając przy sobie, a wyglądała tak czarno, smutno i pusto, jak gdyby w niej już ludzi nie było...

Nowe drogi i gościńce wygodniejsze rzadko tu już podróżnych sprowadzały; jednakże rodzina izraelska, która od wieków zamieszkiwała w Borówce, trzymała się tego kąta, który dla niej stał się rodzinny...

Nie obawiała się ona ani napaści, ani gwałtu, bo niczem przynieść nie mogła, będąc sama ubogą. Jak wybladłe cienie przesuwały się, niby wpół uśpione ta ciszą i osamotnieniem, postacie kilku niewiąst żółtych i chudych, i dzieci wynędzniałych.

Z czego żyli, było ich tajemnicą, bo zarobek od podróżnych, który mógł się nazwać jałmużną, bardzo musiał być lichy. Dawano postójne niechętnie, a silniejsi i butniejsi od niego się uwalniali, tak że wiadra chować czasem było potrzeba, żeby grosz jaki zyskać.

Tego dnia jednak wczesnej wiosny trafiła się rzecz niezwyczajna: z rana przybył tabór podróżnych, a w kilka godzin po nim nadciągnął drugi i oba spoczywały. Zaczem nadciągnął trzeci, a pod wieczór i czwarty. Wszystko to było pańskie i dość gromadne orszaki, które nie tylko się z sobą godziły, ale zdawały się do jednej należeć rodziny.

Wypadkowe może, czy obmyślane spotkanie to skłoniło podróżnych do przedłużenia niewygodnego pobytu w gospodzie, której arendarz schować się musiał ze strachu, tak tu ci przybysze własnowolnie a zuchwale się rządzili.

Gdy czwarty oddział nadciągnął już pod noc, gospoda, choć dosyć obszerna, pełniuteńką już była, bo każdy z nich kilkudziesięciu liczył ludzi i niemało wzów i kolebek.

Izbę wielką zajęli czterej przybyli panowie, dla któ-

rych tu stół gotowano, ławy powyściełano, ogień rozpalono i naznoszono tyle sprzętu podróżnego, ile go stare domostwo nigdy razem nie widywało.

Panowie wszyscy byli zamożni snać, nawykli do wygód, butni okrutnie, a służba ich tak zuchwała, że gospodarz się pokazywać nie ważył. Nie pytano go też o pozwolenie i rozrządzano się w szopie i po alkierzach żydowskich nawet, jak się podobało...

Staremu Żydowi ledwie szczupłą jedną pozostawiono komórkę.

Wiosna była młoda jeszcze bardzo, więc chłodna i wilgotna, bez ognia dla strawy i dla ogrzania obejść się nie było podobna; rozpalono go też w piecach, na kominach, nakoniec w pośrodku szopy nawet, od którego się ona łatwo zająć mogła, lecz Żyd nie śmiał pisać słowa.

Drzewa suchego nie znalazły, gawiedź poradziła sobie, ścianę jedną wewnętrzną rozebrawszy w mgnieniu oka, którą na drwa porąbano.

Żydzi przez szpary spoglądali na to gospodarstwo, ręce łamali i lamentowali pocichu; stary może przeklinał tych nieproszonych gości, lecz odezwać się nie śmiał. Z samego głosu i ruchów czeladzi poznał on ludzi, z którymi niepodobna było się wdawać w rozprawy, a prośby mogły jeszcze rozdrażnić.

Modlił się tylko do Pana Boga, aby po noclegu co rychlej go od tej załogi uwolnił. Nie wątpił, że tak wiele i możni panowie na odjeździe mu coś rzucą, aleby wolał wyrzec się datku i strachu.

Orszaki panów nie wszystkie były do siebie podobne, ani równie liczne; jeden szczególnie pomiędzy nimi liczbą, uzbrojeniem, końmi i przepychem celował. Ludzie też, z których się składał, dobrani, chłop w chłopą, zdawali się wszyscy do wojaaczki stworzeni... i bütę mieli okrutną.

Z dosłyszanych tu i owdzie wyrazów gospodarz się dowiedział, że pomiędzy przybyłymi był kasztelan i inni dostojnicy. Zdawało mu się też, gdy czwarty

przybył pod wieczór, że na niego oczekiwano i że zjazd w Borówce umówiony był zawezasu.

Dlaczego jego biedną szopę wybrano właśnie na tę jakąś naradę, Żyd sobie wy tłumaczyć nie umiał, ani się cheiał domyślać. To pewna, że ani położenie jej, ani droga, przy której leżała, nie usprawiedliwiały wyboru, chyba tylko zupełne osamotnienie wśród lasów, które tu niepostrzeżonym swobodnie i bez oczu ciekawych zejście się dozwalało...

Najliczniejszy i najpokaźniejszy orszak, chociaż pan jego wiekiem nie był najstarszym, rej wodził widocznie, tak, jak on sam w izbie najgłośniej przemawiał, najserdeczniej się śmiał i najsrożej huezał. Rozmowa bowiem, w serdecznych powitaniach rozpoczęta, wkrótce się niemal we wrzawliwy spór zmieniła.

Ci czterej podróżni, którzy w istocie do Borówki się zjechali naumyślnie, aby, z podejrzliwych oczu ludzi zszedlszy, swobodnie się o swych sprawach naradzać, byli to czterej z ośmiu niegdyś braci Zborowskich, synów tego Marcina, o którym głośne było onych czasów podanie, iż nigdy w życiu żadnej sprawy w sądach z nikim nie miał, bo jurystów i pienięcta nienawidził, nienawiśle swoją posuwając do tego stopnia, iż palestrantów, gdy ich pochwycił, „na rybnych stolech”, wedle wyrażenia Paprockiego, bijał.

Wiadomo, iż rodzina była tak stara, jak sama Polska, ale miała to we krwi ze wszystkimi Jastrzębcami wspólnego, iż spokojnie darów Bożych używać nie umiała, a burzyła się i zrywała do rzeczy trudnych i wielkich, co prawie zawsze przypłacała bolesnie.

I chociaż ze krwi tej i plemienia wiele rozrodzonego, bo nierzadko Jastrzębcowie miewali po szesnaściego potomstwa, jak Marcin Zborowski, wyszło wielu mężów Rzeczypospolitej zasłużonych i dostojeństwa, wysokie piastujących, nie dobili się oni nigdy do takiego znaczenia, jakie inne rody pozyskały, albowiem, jeśli ojcu się powiodło, syn najczęściej tracił, co on zdobył i na stanowisku się nie utrzymał.

Z Jastrzębców, tego czasu już rozrozdzonych, a mno-

gie nazwy noszących, od imion posiadanych, rozsypanych po całym obszarze Rzeczypospolitej z Mazowsza począwszy aż do jej kresów, Zborowscy bodaj nie najznaczniejsze i najwybitniejsze zyskali stanowisko. Ani im majątkości rozległych nie brakło, ani koligacji, które z pierwszemi domy w Rzeczypospolitej łączyły.

Na animuszu też ichmościom nie zbywało, ani na męstwie, i nauki nie brakło, ale wszystko psuła ta krewkość i popędliwość, dla której często jednej chwili tracili, uniósłszy się, co długimi laty odzyskać się nie dawało.

I teraz właśnie rodzina znalazła się w podobnym położeniu, od czasu onego pamiętnego zabójstwa Wąpowskiego i zajścia z panem Tęczyńskim, dla którego Samuel, mimo wdzięczności dlań Henryka króla, z kraju musiał być wywołany.

Chociaż wiele sobie z tej banicji nie czyniono, zwłaszcza od czasu ucieczki Henryka, a po obiorze Stefana Batorego, zawsze wyrok ten, wiszący mieczem Damoklesowym nad głową jego, dawał prawo pierwszemu lepszemu do nastawania na życie.

Tylko, że na Zborowskich się porwać, zwłaszcza na Samuela, nie lada człeka było potrzeba.

Po ogłoszeniu banicji, która całą rodzinę i przyjacielów jej przeciw królowi rozżaliła i zburzyła, wyjechał był pan Samuel zagranicę i tutał się, ale pańskim obyczajem z pocztem wielkim, po różnych dworach zagranicą. Wtedy, powiadano, i do Siedmiogrodu do Stefana Batorego zawędrowawszy, miał mu pierwszy podać myśl starania się o polską koronę i znaczne poparcie swoich zapewnić.

Prawdę to było czy nie, pewna, że po wyborze Stefana, chociaż banicji z niego nie zdjęto, Samuel po kraju jawnie się nosił, jeździł, na zgromadzenia szlachty bezkarnie się stawiał, a nawet, co królowi tajnem być nie mogło, na wyprawę moskiewską pod Polock z ludźmi się stawił i nikt mu nie rzekł słowa.

Rzec tedy było można, że banicja na nim przyszła i była tylko zagojonej rany blizną. I takaby ona może

w końcu się stała, gdyby niespokojny umysł Samuela i braci jego nie rozjaśnił starego bólu na nowo.

Wzrost nagły Zamojskiego, którego Zborowscy pogardliwie „szarakiem” nazywali, chłodne przyjęcie ich przez króla i odmówienie jurgieltu i urzędów, jakich się spodziewali, popchnęło Zborowskich do takich kroków, iż z Zamojskim, a przez to i z królem samym w otwartą popadli wojnę.

Wiadomo, jak trudne miał pierwsze początki panowania swego król Stefan i jak tylko z pomocą zręcznego i śmiałego Zamojskiego, a własną energią i tegością charakteru potrafił je zwyciężyć i im podołać.

Znaczna część województw w początkach nowego króla znać nie chciała, stojąc przy wybranym Rakuszaninie i dopiero zwycięstwo nad gdańszczanami odniesione, szczęśliwa wojna z carem moskiewskim, sejmy, mimo burzliwości, pokonane, śmiałość postępowania szlachty szemrzałą i niechętną do milczenia i poddania się zmusiły...

Wszystko to solą w oku było Zborowskim. Jeden z nich, najstarszy, Jan, kasztelan gnieźnieński, przy królu dotąd stojący wiernie, do upokorzenia zbuntowanych gdańszczan wielce się przyczynił.

Żądali więc i za to, i za swe usługi przy elekcji, aby ich dostojeństwy obsypywano i obdarowywano... Oparł się pono temu Zamojski, nie żeby zazdrosnym był, ale że w nich warcholów znał i obawiał się; a chwila była, w której nietyle buty i zuchwałstwa, co karności wielkiej potrzeba było.

Krom więcej spokojniejszego Jana, reszta rodu, z Samuelem i Krzysztofem na czele, coraz dobitniej i głośniej, nie kryjąc się z tem, przeciwko królowi i Zamojskiemu knuć zaczęła.

Dochodziło to przez usłużnych ludzi do uszu hetmana, a przez niego do króla, ale w początkach gardzono pogroźkami, a środków żadnych przeciwko językowi rozpuszczonemu nie przedsiębrano, bo dotąd na języku wszystko się skończyło. Ten i ów prawił o spiskach jakichś i opowiadano, że już czasu koronacji w Krak-

wie Samuel rożałony do króla strzelać chciał i do tego innych namawiał.

Z Zamojskim, okrom Jana Zborowskiego, żaden z nich nie przestawał i ogłosili hetmana za nieprzyjaciela rodu swojego, nie szczędząc mu potwarzy.

Im Zamojski więcej rósł i wyżej się podnosił, a królowi był milszym, bo prawą jego ręką był i pierwszym sługą a przyjacielem, tem nienawiść ku niemu rosła w sercach panów Zborowskich. Stał przed nimi żelazny ten mąż, jak zapora, przez którą do majestatu dostąpić nie mogli.

Donoszono hetmanowi, co knowali i jak się odgrążali Zborowscy, szeptano im, jak wzgardliwie te pogrózki przyjmował — i obie strony coraz więcej animozji przeciwko sobie nabierały. Jeden tylko Jan gnieźnieński wiernie po stronie królewskiej stał, lecz choć pragnął braci pohamować — nie zdolał.

Wojna z Moskwą właśnie pokój z Turkami i Tatarami czyniła pożądanym, gdy Samuelowi niespokojнемu przyszła myśl opuścić kraj, iść na Niż do Kozaków i próbować, ażali mu się nie uda, nad nimi władzę sobie wyrobiwszy, z tą potęgą stanąć królowi wpoprzek jego zamiarów...

Jak zawsze Samuel był gorącym i niecierpliwym, gdy mu myśl jaka, zła czy dobra, w głowie zaświtała, tak i teraz, naprzód ludzi swych ku Niżowi sprawiwszy, aby rozpatrzyli się między onem kozactwem, gdy mu nadzieję przyniesiono, że tam wiele uczynić było można mestwem a szaleństwem i twardem życiem, na które Samuel rad się ważył, począł głośno i jawnie na Niż się zbierać i ludzi ściągać.

Była to w życiu Samka chwila taka, o której on sam czuł i wiedział, że szalę na stronę wielkiej fortuny lub zguby przeważyć mogła. Zamłodu wszystkiego zażywsszy i nadużywszy aż do szaleństwa, poecynał czuć gorycz we wszystkiem, nic mu już nie smakowało, co dla niego było dostępne.

Na sumieniu, jak ludzie powiadali, a co nikomu tajem nie było, wiele miał. Trojga dzieci matka, żona je-

go, umęczona niesprawiedliwemi doniesieniami i podejrzaniem, obchodzeniem się nieludzkiem przywiedziona do rozpacz i choroby, zmarła była; wspominając ją często, łzy miewał na oczach, a jedyną córkę, jaką mu zostawiła, bardzo do niej podobną, czule kochał, choć i synom miłości nie skąpił.

Było to serce równie do nienawiści namętnej, jak do miłości szalonej skłonne, a że go nigdy hamować ani próbował, ani umiał, ani teraz mógł, wiodło go ono, gdzie chciało — równie na dobre drogi, jak na manowce.

W godzinach, gdy go ogarniał szal, a człek mu bardaj palca zakrzywił, ubić był gotów bez rozmysłu, a potem za lada usługę po królewsku nagrodzić i życie ważyć przez wdzięczność.

Złym i zepsutym dotąd nie był, dopiero go gryząca przeciwko Zamojskiemu nienawiść i złość bezsilna poczynała psować — a wpływ też brata Krzysztofa na nim się odzywał.

Nim go tu bliżej poznamy, o tym bracie najmłodszym słowo powiedzieć należy.

Zarzucano wiele Samuelowi, bo na oku był, a od zabójstwa Wapowskiego smutnej nabrął sławy i sądzono go do wszelkiego zła skłonnym. Prawda, że pomiarowania nie miał, że gęby nie strzymał tak samo, jak ręki, że często więcej nią grzeszył, niż czynem, a dwór jego i przyjaciele, sądząc, że go wynoszą, wiezali na nim najgorsze łachmany wymysłów własnych; ale z całą szparkością i krewkością, butą i porywczością zachował Samuel w sobie coś szlachetnego i w pierwszej chwili zawsze ku dobremu go serce wiodło, choć potem głowa na bezdroża wpędzała.

Wielce do niego na oko podobny Krzysztof, bo i z twarzy, i z ducha, z mowy, i z ruchu Samka przypominał, daleko od niego był gorszym. Temu chciwość i ambicja godziny spokojnej nie dawały, a zawiść serce mu jadła, gdy cudze powodzenie widział; wreszcie tego był przekonania, że gdy się człek *per fas et per nefas*

wysoko dobił, wszystko mu będzie przebaczone. Dla sukcesu gotów był też na wszystko.

Wiedzieli szczególnie bracia, że Rakuszaninowi służył wiernie i płacić sobie kazał za to, bo na grosz chciwym i łakomym był niepomiernie; chodzili pogłoski nie próźne, że z carem moskiewskim miał konszachty... Ale gdy Ościka ścięto, a ludzie się przekonali, że król Stefan i w karmazynach chodzącej zdradzie nie folguje, uciszoną te wieści, bo to gardłem pachniało...

Ci, co go lepiej znali i wiedzieli, co zacz był, mówili, że tak samo djabluby służyć był gotów, byle mu jurięgiel i bogactwa zapewnił.

Taż sama gorąca i niecierpliwa natura, która u Samuela wybuchała niepowstrzymany, kipiała i w Krzysztofie, ale zamknięta i zduszona. Z mowy tylko i ruchów gorączkowych poznać było można, iż się nieustannie hamować musiał, chytrą zażywając, jak ten, co kilku panom na raz służąc, nie radby się wydać ze sromotnem swem zdradzieństwem.

Jeżeli kto, to on najwięcej Samuela jątrzył, a rad go był za swe narzędzie używać, nie dając mu tego poznac, podsuwając myśli, które za Samuelowe glosił, choć mu je narzucał.

To też jak było z tą sprawą niżową, Bóg jeden tylko wiedział, kto ją pierwszy podniósł, choć się nią teraz Samuel, jak dziecko lalką nową, zabawiał i z nią nosił.

Spiski też owe, trucizny i zasadzki na króla i hetmana, o których tyle mówiono, nie zrodziły się w umyśle Samuelowym, który przedzej z nieprzyjacielem wstępny bojem, niż pokątnem knowaniem, rad się był rozprawiać.

Ale Krzysztof umiał wmówić w niego, co chciał, i kota, jak zażądał, wywracać, tak że bratu białe czarne, a czarne jasne potrafił okazać.

Lekkomyślny i namiętny Samko, gdy raz pochwycił co z ust brata a do serca wziął, jeszcze bujniej się to w nim rozrastało.

Najstarszy Jan, o którym wspominaliśmy, że mu

król pokonanie gdańszczan zawdzięczał, mąż był już dojrzały i uspokojonego ducha, choć miał też samą krew, męstwo i żywość umysłu, co i bracia. Raz na inną wszedłszy drogę, już z niej nie zbacał, stale się wytkniętej trzymając.

Co bracia jego na szarpanie się namiętne zużywali, Jan na stateczne postępowanie w jednym kierunku obracał. Był też i królowi miłym i Zamojskiemu niepodejrzany, chociaż nie można rzec, aby bliskie pokrewieństwo z Samuelem i Krzysztofem na niego cieniu pewnego nie rzucało.

Musiał się tem bacznier pilnować, tem jawniej postępować, iż każdy wątpliwy krok nieprzyjaciele rodziny Zborowskich przeciwko niemu też obrócić byli gotowi. Wiek w nim nieco krew ostudził i już mu łatwiej dozwalał na wybranem trzymać się stanowisku.

Chociaż go ono w antagonizmie jawnym z braćmi stawiło, Jan nie rozbratał się wcale z nimi, utrzymywał stosunki i spodziewał się wpływem swoim powstrzymać, gdyby niebezpieczeństwo groziło, ratować, gdyby w nieszczęście popadli. Rzadki bowiem naówczas przykład był, aby się rodzina, nawet różniąca się przekonaniami, rozpadła i nieprzyjaźnie przeciwko sobie występowała. Węzeł starodawny, święty, łączył z sobą roduństwa, a nawet dalsze gałęzie i odrośle, z jednego pnia pochodzące.

Można więc wystawić sobie, jak bolesnemi dla Jana były wieści, które u dworu i po kraju o jego braciach chodziły, przypisując im straszne zamachy przeciwko panu i przeciw ulubieńcowi jego, hetmanowi. A im większej nabierały one dosadności, tem Jan bołał mocniej.

Wreszcie pogłoska, iż Samuel na Niż się wybiera w chwili, kiedy szło o pokój z Turcją, który łacno lada ruch kozacki mógł zakłócić, skłonił Jana, jako głowę rodziny, do powołania braci na zjazd i radę, bo się spodziewał powagą swą warchola powstrzymać, a podżegacza Krzysztofa zastraszyć. Obu ich znal nadto do-

brze, aby to łatwem sądził, niemniej sumienie kazało próbować, bo rodzinie groziła zagłada i sromota.

Niechętnie może zgodzili się bracia na ten zjazd potajemny, który inaczej, jak za oczami, w puszczy, odbyć się nie mógł, boby zaraz języki złośliwe poruszyły i jako nowy spisek rzucanobyc go im w oczy.

Przybywał, oprócz wymienionych, i czwarty brat, Andrzej, którego inaczej oznaczyć nie można, tylko jako pośredniego charakterem pomiędzy Janem a Krzysztofem.

Zamłodu we Włoszech wychowany, oglady wielkiej, potem dworzanin cesarza Maksymiliana, czem się rad chlubił, sprzyjał pokolei przy elekcjach to księzetom włoskim, to Rakuszaninowi, ale i przeciwko Batoremu osobiście nic nie miał, choć go za małego panka uważały i lekko ceniły.

Życie znacznie w nim namiętności przytępiło, ale dumą urósł wysoko i umysłem się nad rodzeństwo uważały wyższym, chociaż więcej oglady miał z pozoru, niż istotnej wyższości. I on też dotkniętym się czuł, nie piaстując nic nad marszałkostwo nadworne, które ledwie za szczebel do wyższych dostojeństw uważały.

Pomiarkowania i wstrzemięźliwości słowa nauczyły go zamłodu pobyt na cesarskim dworze, więc też z niego myśli prawdziwej nie było łatwo wydobyć inaczej, tylko naturę Zborowskich w nim budząc i drażniąc miłość własną.

Wybuchał i on, bo miał też samą krew, co i bracia, ale się rychlej hamował i nie puszczał sobie cugli, a nawet gdy się unosił, dworacka oglada za daleko mu się posunąć nie dopuszczała.

Ponieważ wszyscy się oni z sobą kochali, więc też i Andrzej Samuela w wielu jego postępках rozgrzeszał, bronił go i żarliwie stronę utrzymywał. Z Janem byli chłodno, ale szanowano w nim głowę domu. Zdanie marszałka niewiele może między braćmi ważyło, ale je szanowano i dlatego zjazd się bez niego obejść nie mógł.

II.

Wielka izba gospody w Borówee, okopcona, ze ścianami, które od dymu palonych tu wieczorami skałek miejscami czarno niemal polyskiwały, wszystkim czterem braciom służyć miała za obozowiska. W kominie i piecu palęce się ognie, których czerwonego pilno strzegła, aby nie wygasły, oświecały ją nierównym, migocącym blaskiem.

Wzdłuż ścian, u ław i na ławałach służba panów Zborowskich poskładała odzież, futra, płaszcze, kobierce, oręź kosztowny i co z wozów zdjęte dla użycia kazano.

Cztery kupy te, każda oddziennie, tak się od siebie różniły, jak ich panowie. Najskromniejszą była najstarszego z nich, Jana; najnieporządzniej narzuconą, ale najwytworniej błyszczącą - Samuela. Ten bowiem, jak o głodzie i chłodzie wesoło wytrwały umiał, gdy było potrzeba, czego przy wojsku dał dowód, — tak czasu sposobnego niezegu sobie nie żałował, a gdy ptasiego mleka zażądał, lub czegoś, coby na wagę złota nabylać trzeba, mieć musiał.

Przychodziły mu takie fantazje co do stroju, który raz niepomiernie był świetnym, to grubym, prostym i zaniedbanym. Z oręzem też bawił się, można było powiedzieć, jak dziecko, bo mu niekiedy hiszpańskich zbroi szmelecowanych było potrzeba, za które pozywanym groszem przeplacał, to potem wschodnie szable skupywał, albo płatnerzy z Niemiec sprowadzając, wedle własnego pomysłu kuć i szmelecować kazał.

A co jednego dnia za ostatni grosz nabył, często nazajutrz, gdy go kto prosił, oddawał, już żadnej do zdobyczy tej nie przywiązuje wagi.

Takim we wszystkiem był ten człowiek!

Kasztelan gnieźnieński wiózł z sobą tylko to, co niezbędnie dla wygody potrzebnem było; na okaz nie miał, ale mu zato nie brakło na tem, co w niepewnej porze roku zdrowie zachować mogło.

Podróżne przybory marszałka odznaczały się wy-

twornością skromną, lecz wszysko tam było jak najlepsze, najdroższe i wypróbowanej wartości.

Wreszcie sakwy i rzeczy pana Krzysztofa chyba się tem odznaczały, że w nich widoczne skąpstwo obok chęci popisu biło w oczy. Więc nie doborem, ale jaskrawością a lichotą podróżne przybory pana brata Samuela do śmiechu pobudzały, co Krzysztofa do gniewu doprowadzało.

Ponieważ na pustyni nic się znaleźć, nawet chleba, nie spodziewano, każdy wióz z sobą zapas śpiżarniany: kolacze, barylki z winem, każdy miał kuchę między czeladzią i wóz dobrze nabity. Ale pan Samuel z tą butą, która go odznaczała, oświadczył zaraz, że choćby nazajutrz głodem miał mrzeć, on dziś panów braci do swojego stolu zaprasza.

Okazało się, że na jego wozach była zwierzyna, marynowane ryby, solone i wędzone mięsa, wina i miodu poddostatkiem. Nawet zastawa stołowa, jak na podróżną biesiadę, za wytworną uchodzić mogła. Misy i półmiski cynowe, takież talerze i dzbanы kształtami pochodzenie swe niemieckie zdradzały. Do wina kubków srebrnych pozłocistych i dzvana podobnego nie brakło, a nawet obrus niejednejby gospodyn zazdrość obudził. A gdy misy i półmiski na stół przynosić zaczęto, rozeszła się taka nęcząca woń korzennych przypraw, iż się jej oprzeć było trudno.

Wspaniale tak i po pański występować lubiał Samuel, ale służba świadczyła, że czasu podróży lubłowów całe dnie o suchym chleba kawałku spędzał, a głód znosił tak wesolo, jakby mu to zwycięstwo nad sobą wielką sprawiało radość.

Od pierwszego powitania bracia, prócz tego, co się ich osób i rodzin tyczyło, nie rozpoczęli rozmowy o tem, co ich tu sprowadzało. Chociaż wszyscy taką tylko służbę i czeladź mieli tu z sobą, której się strzec wcale nie potrzebowali, woleli za konsensem powszechnym odłożyć sprawę do chwili, gdy dwory i czeladź zkolei do jadła zasiądą i podchmielą sobie, aby ich zbytnio nie podsłuchiwać i nie szpiegowali.

Zeszło więc tak do wieczora późnego przy kubkach na obojętnym gwarze o pospolitych sprawach, choć i tu o królu i hetmanie nie zapomniano. Naostatek podniósł się z lawy Jan, kasztelan gujezieński, i posiwiął głowę musiawszy dlonią, okiem rzuciwszy dokola stołu, przy którym siedzieli, orwał się polgosem:

— Czas do rzeczy przystąpie... Pozwaliśmy cię tu, Samku, w sprawie tego Niżu, o którym ludzie już plotą, że się tam na przekorę królowi wybierasz. A poleczę nam przeciwko drażnie, gdy i tak dosyć ma niechcę, i co imię Zborowskich nosi, już mu podejrzane. Przytem z tego, co o Niżu wiemy, trudno was wróżyć sukcesu. Zawiehrzyć tam łatwo, a z chłopstwem lada-jakiem, choćby hetmaństwo nawet od niego czekało, nie przystało Zborowskim wehodzić w przymerza.

Samuel słuchał, usmieszchając się i twarz mu drgała zaczyńskała, bo już pilno mu było wystrzelic odpowiedzi. Wszelako bratu starszemu cheiał się dać wygadać.

Jan przedko skończył.

— Jeżeliś miał tą myśl na Niż do kozaetwa jechać, rzuć ją z lichem, — na nie się nie zdala...

— A wy skąd, panie kasztelanie, ów Niż znacie, że o nim tak prawicie, jakbyście tam byli i naocznie się przekonali, że ono kozaetwo do niezegó? Chłopi są, mówicie? są i chłopi, nie przeczę, ale swobodni, a swoboda to wielka mistrzyni, daje im takiego ducha, jakiego niejednemu szlachcicowi przyszłoby im zazdrośćć. A no nie samo tam chłopstwo na tych ostrowach i po tym stepie się zbiera; sila jest naszych braci, którzy doma sobie przykryli, albo od pomsty i sromoty głowę ratując, pociekali.

— To pewna, że ono kozaetwo odważne, sprawne i na lądzie i na wodzie — wojownicy dzielni i tylko wódza im brak, aby z nich siłę stworzył, która nie samego Turkowi i Tatarszynowi straszną będzie...

Przytem ich ostrowy i kamysze są taką twierdzą, że tam ich seigac i dobywać nie może nikt... bezpieczni są. Co za dziw, że się takiemu wojsku hetmanie zachechiewał!

Ono to jest ciasto, z którego dobra gospodynki kociąc upiec potrafi!

— A ty tą gospodynią być myślisz? — podchwycił z litościwem niedowierzaniem kasztelan. — Znamy się przecież i ja ci wielkich przymiotów męstwa, rzutkości, rycerstwa zaprzeczać nie myślę, a no, abyś na wodza miał potrzebne kwalifikacje, tego i miłość braterska nie potrafi przyznać.

Samko się cały poruszył i zadrgał, jakby go smagnięto.

— Myślicie tak, boście mnie wodzem nie widzieli, — zawołał — ale ja w sobie czuję to, panie bracie, że czem zechęć być, tem potrafię.

— Dużoś rzekł, — odparł Jan spokojnie — a daj Boże, aby w tem choć odrobina prawdy była. Jabym się temu cieszył, Bóg świadek. Pierwsza, czem nie potrafisz być, choćbyś chciał, to być — karnym i posłusznym!

Samuel rozśmiał się, rozbroyony.

— Ba! — zawołał — na to zgoda... A no, Zborowskich we mnie krew. Jarzma ona nie cierpi!

— A o tem nie wiesz, — rzekł Jan — iż kto słuchać nie umie, ten rozkazywać nie potrafi.

— Kto to powiedział? — chmurno zapytał Samuel.

— Doświadczenie wieków — dodał kasztelan.

— Może ono być rzetelnem, — przerwał Samuel chmurno — ale się stosuje do ludzi pospolitych. Nie zaprzeczycie mi, że są wyjątkowi, że takim ze krwi rodu hetmaństwo się należy, a nie posłuszeństwo. Ja w sobie czuję, że do gminu się nie liczę.

— Nikt z nas też — dodał Andrzej — nie zechce do niego należeć, i pan kasztelan też pewnie nie ostatnim się czuje.

Zamilkli wszyscy.

Rozmowa dotąd pomiędzy Samuelem a Janem zającona nie weszła na tor właściwy i kasztelan, zrozumawszy to, zwrócił ją w inną stronę.

— Mniejsza o hetmaństwo — rzekł — i o to, czem się kto czuje; nas tu wspólna sprawa familji ściągnęła.

Za tego panowania, na którym najpiękniejsze pokładaliśmy nadzieję, stojmy z każdym dniem coraz gorzej. Nie mówię tego o sobie, bo się trzymam, jako mogę, aby i was w potrzebie ratować, ale wy wszyscy poszliście takimi drogami, które do zguby wiodą.

Samuel i Krzysztof spojrzeli na siebie i porozumieli się wzrokiem. Chciał mówić Samuel, lecz postrzegłszy, iż Krzysztof do odpowiedzi się gotuje, zamilkł, oczy zwracając na niego.

— A kto nas na te drogi wpędził? — zawała Krzysztof. — Nie dobra wola, a konieczność; prześladowano nas, prześladują, a co za dziw, że na wszelki sposób bronić się usiłujemy?

Wyrazy te wymówiwszy tonem umiarkowanym, w którym pewien przymus i powstrzymanie się czuć było, nagle pan podczaszy rzucił się, jakby ciężar jakiś z ramion strząsnąć chciał, wlepił oczy w kasztelana i począł, głos podnosząc:

— Co my tu z sobą, pomiędzy braćmi, w ciemną babkę grać będziemy! Ja się za język kasać nie myślę i wolę od razu z serca zrzucić, co na niem mam. Pośród nami, kasztelanie, choć bracią jesteśmy, przeapaść się otworzyła. Wy tego wilka siedmiogrodzkiego, tego przeklętego Węgra, który na zgubę naszą na tron się wdrapał, wenerujecie i słuchacie, wy do jego rady należycie, wam wszystko dobre, co on czyni, albo hetman, służka jego... a my, — myśmy ich nieprzyjaciele, wrogi zdeklarowane i z tem się przed wami tacić nie myślimy.

Choć twarz mu się krwią oblała, Jan wybuch ten przyjął z powagą wielką, nie sierdząc się, gdy w Krzysztofie już paliło się i kipiało.

— Mówicie „my“, panie podczaszy — odparł zimno. — Któź to z wami, azaliście wszyscy tego przekonania?

Samuel pierwszy butnie krzyknął:

— Ja z Krzysztofem trzymam. Wrogi to nasze są, mało tego, wrogi są wolności naszej i Rzeczypospolitej, okiełznać nas chcą i w kajdany zakuć!

Andrzej, który oczy miał spuszczone i namyślać się zdawał, dodał z kolei:

— Prawdę mówi! Temu zaprzeczyć niepodobna, że oni prawa i przywileje nasze łamią i depcą. Co im sejm? co im uchwały? Baliśmy się Rakuszanina, cesarza, że na nasze swobody czyhać miał, a gorzej się stało, żeśmy to małe i ubogie książątko wzięli, bo ten z mocą hetmana wprost do *absolutum dominium* kroczy. Toć to jawne. A jakże my to znosić mamy? Albośmy to jedni? Spojrzyjcie po wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej i posłuchajcie. Jeden jest głos: jeżeli król pożyje a potrwa, wiekowe nasze *libertates* przepadną. Do tego wszystko jawnie zmierza.

Kasztelan się zmarszczył, głową potrząsał.

— Mam ja też oczy; — rzekł — prawa tej Rzeczypospolitej a nasze tak mi są drogie, jak i wam, tego zaś, co mu zadajecie, nie widzę. Groził bunt gdańszczan, za którymi by poszło Pomorze. Co miał czynić król? dla warcholącej szlachty dać nam przepaść? Musiał przebojem iść, aby Rzeczpospolitą ocalić i ocalił ją, i orężowi jego Pan Bóg pobłogosławi. A gdzież są te swobody, które wam odjęto?

Krzysztof ledwie mu dał dokończyć, zapalił się okrutnie.

— Wyście, panie bracie, już ich, nie nasz, — krzyknął — ślepi jesteście dobrowolnie, trudno wam oczy otworzyć! Niebywałe rzeczy dzieją się u nas. Ścięto Ościka, na innych się odgrążają, że im też na gardło nastaną. Pospolite ruszenie zwołują samowolnie, pobory dawać zmuszają, a już im dawnego żołnierza, co przez tyle wieków bronił i zasłaniał, nie dosyć, zaciągi robią z prostego chłopstwa, cudzoziemców jurgietami zwabiają, piechoty jakieś wystawiają. Na nieprzyjaciela to potrzebne, mówią, przeciwko twierdzom jego... a co innego myślą. Żołnierz obcy, gdy siła go będzie, na nas się obróci i szlachtę zdusi. Jako żywo go nie przeciw Moskwie zbierają, ale przeciwko nam. I my to cierpieć mamy, nie myślącawczasu o obronie? Ha! ha! — rozśmiał się podczaszy.

— Wymysły to są i połwarze — odezwał się kasztelan. — Ja z wami o tem rozprawiać nawet nie myślę, bo nie widzę niebezpieczeństwa, a patrzę na triumfy. Połock odebrany.

Chciał mówić dalej, ale mu Krzysztof nie dopuścił.

— Tak samo, jak wam z nami, tak nam z panem kasztelanem spierać się trudno, bośmy dwu obozów ludzie, a one nieprzejednane są. Wasz pan wrogiem jest naszym i my się z tem nie tajmy, że przeciwko niemu cokolwiek możemy czynić, przedsiębrać, cokolwiek na jego szkodę zgotować potrafimy, — nie omieszkały!

Samuel potwierdził żywo.

— Jam tejże wiary, co i Krzysztof, — zawała — a mam może ku temu jeszcze większe, niż on, pobudki. Któz to pierwszy temu wilkowi, gdy siedział w swej jamicie, myśl tę poddał, że się o tron polski kusić może i ku niemu obrócił ludzi? Skorzystał z tego, — Bóg zapłać mi nie powiedziawszy.

— A gdybyśmy byli Rakuszanina się trzymali i na tron go podnieśli. — wrącił Krzysztof — dopierobyście widzieli, jakby nasza rodzina urosła! Mybyśmy teraz i hetmańską buławę i krakowską pieczęć mieli, nie licząc pieniędzy i starostw. Mybyśmy tu rej wiedli, jak nam zdawna należy.

Andrzej głowę skłonił.

— To pewna, — rzekł — że on nam żadnych nie przyniósł korzyści. Hetmanów u nas takich siła, pieniądze nie dał, bo ich sam nie ma, a zapożyczyć się musi, przymierza i siły żadnej nam nie dał.

Samuel złośliwie się uśmiechnął.

— A no, uczynił nam to dobrodziejstwo wielkie, że starą królewską, której nikt nie chciał, zaślubił. I to mu się policzyć powinno, bo żona nie do zazdrości i nic mu po niej.

— W miejsce jej znajdzie sobie w Grodnie dziewczę, — rzekł Krzysztof — a siła takich na dworze ma, co mu ją przywiodą, tak jak nieboszczykowi Zygmun-

towi prowadzili, aż te czarownice i lubownice życie z niego wyssały.

Kasztelan z pogardą głowę odwrócił, nie chcąc nawet odpowidać, więc Krzysztof, coraz bardziej poruszony, mówił dalej:

— Jeżeli wy nas, panie kasztelanie, nawrócić myślicie na wiarę waszą, kortezańską, mylicie się srodze. Nie pójdziemy z wami, ale przeciwko wam, a wszystko, co na wilczezęby potrafimy, czynić nie omieszkamy.

Spokojnie się podniósł z siedzenia Jan i przez okno, niedaleko będące, na ciemną noc spojrzał, jakby dnia szukał, mówiąc:

— Ja tu z wami nie mam już co czynić, a buntowniczych mów waszych słuchać mi grzeszno. Czyńcie, co się wam spodoba, kiedy was do rozumu i statku przywieść nie można, a będąc-li z tego srom i nieszczęście — nie moja wina, umywam ręce.

— A nie myślcie, że wy z waszemi pokątnemi kontraktami i spiskami coś zdolacie. Mają na was oko, chodzą za wami i koło was ludzie... żadnego nie uczynicie kroku, aby o nim nie doniesiono, bo Zamojski wie dobrze, co o nim i o królu trzymacie. Więc to wam zapowiadam głośno i wyraźnie: naprawić się nie chcecie, ja z wami nie trzymam. Boleje serce braterskie, ale Bóg świadkiem, że gdym uczynił, co powinność nakazywała, dla miłości waszej dalej nie pójdę.

— Nie chodzi tu o samą miłość waszą, panie bracie, — począł na nowo Krzysztof — ale o naszą Rzeczną pospolitą całą, którą na turecki regiment chcą przerobić, na co my, choćby gardła przyszło dać, nie pozwolimy.

— Gardła dać łacno, — rzekł kasztelan, wzdychając — dał je Ościk... nie pofolgują i panom Zborowskim, gdy się okaże, iż podczaszy do cara listy posyła...

Krzysztof się zarumienił i milczał.

— Mało było z cesarzem knować i Rakuszaninowi służyć, — ciągnął dalej kasztelan — z Moskwą też wchodzisz w traktowania...

— Nieprawda! — bąknał podczaszy. — Żadnych jeszcze umów nie było, a gdy się zgłaszają koronowani, przecież milczeniem ich zbyć nie można.

Kasztelan ręką rzucił, jakby dzisiejszy spór za próżny uważał.

— I Rakuszanina, i cara moskiewskiego-bym wolał, — mówił dalej podczaszy — niżeli tego Cygana, który nam nie przyniósł nic, krom pięści.

— Zdalać się ona i na warchołów, — zamruczał Jan — lecz co o tem z wami rozprawiać. Dajmy sobie pokój. Dla mnie, co król czyni, dobrem jest i zbawieniem, — dla was zgubnem! Przybyłem na zwołanie, jak mi powinność krwi nakazywała, bom starszy w rodzie i głową waszą, ale słowa moje, jako groch o ścinę; marnować ich nie myślę.

To mówiąc i już trochę zniecierpliwiony wstał, w ręce klaskając na czeladź.

Ta, chociaż wpobliżu była, ale właśnie biesiadowała, i choć kasztelan po kilkakroć powtarzał niecierplawe klaskanie w dłonie, nikt nie nadchodził.

Dopiero, w chwili uciśzenia, usłyszał ktoś i wbiegł wyrostek z czeladzi pana Samuela.

— Wołaj mi Kubatkę mojego! — odezwał się kasztelan.

Milczeli wszyscy, gdy się zjawił stary sługa.

— Jak świt mi konie gotować — rzekł Jan do stojącego u progu. — Napoić i karmić zaraz, abym nie czekał. Wracamy pilno.

I ucichł.

Po odejściu sługi czas jakiś jeszcze trwało milczenie, ale z ruchów pana Samuela i Krzysztofa widać było, że siłą się powstrzymywali od sporu ze starszym bratem, który, obu rękami wsparłszy się na stole, zadumał się, oczu nawet na nich nie zwracając długo.

Dopiero po tym milczącym przystanku kasztelan się do Andrzeja, zatopionego w sobie, obrócił.

— Ani Samuela krwi gorącej, której impet już przywrócił, — rzekł poważnie — ani młodemu podcza-

szego rzucaniu się bez rozwagi nie dziwuję się, ale wy też z nimi trzymać myślicie?

Pan Andrzej usta podniósł i zwrócił się ku kasztelanowi.

— Wy to wszystko — rzekł — na karb krewkości kładziecie, a nie widzicie tego, że oni nie jedni są przeciwko królowi i hetmanowi. Mało rzeknę, gdy połowę Rzeczypospolitej do naszego obozu zaliczę. Milczy wielu, bo im strach zamyka usta, ale myślą tak, jak my, a poślizgnęłyby się jeno stopa Węgrowi, dopiero byście posłuchali, co o nim trzyma szlachta i jak go kocha.

Tyran jest, samowolnik, ciemiężnik. Nie okiełzanął nas jeszcze, bo czasu nie miał, a no poczekajcie mało, ani się spostrzeżecie, jak popadniemy w niewolę. Kajdany nam kują jawnie, a my tego widzieć nie chcemy. Wskazywał pan Krzysztof na owe piechoty cudzoziemskie i chłopstwo, zaciągane do wojska, nie przeciw komu, tylko na zgubę naszą. Dlatego na nowe pułki pieniędzy nie żałują, bo one przeciw swobodzie naszej stają. Wybije godzina, rozpędzą radę i sejm i za leb nas pochwycią.

Jakże my się nie mamy bronić i wszelkich środków zażywać, aby ta wolność, na którą wieki pracowały, dla dzieci się naszych uchowała.

— Wolność, ale nie swawola — podchwycił kasztelan. — Jakże my przeciwko naszym nieprzyjaciółom obronić się potrafimy, gdy w domu posłuszeństwa i ładu nie zrobimy?

— Tożeśmy wieki tak przetrwali — zawałał Andrzej.

— I Połock stracili, który w rękach Moskwy przez siedmnaście lat zostawał, i pokoju nie mieli nigdy na granicach; Tatarom się opłacać przyszło, a z Wołochy nic poradzić nie umieliśmy. Ale to jest król i pan, którzy poprzysiąglszy *intergritatem* Rzeczypospolitej i rekuperację, i chce swojej przysiędze uczynić zadość.

Andrzej się rozśmiał, głową potrząsając.

— Jużci Sygonjuszowemu uczniowi a padewskiemu rektorowi na argumentach nie zbraknie, aby się

oczyścić, — rzekł szydersko — ale to blichtr jest a de spotyzm jawny nam grozi...

— Dlatego też, — wybuchnął gwałtownie Krzysztof — co w naszej mocy jest, czynić będziemy, aby się i pana i slugi pozbyć. Wszystko nam dobre, bo o Rzeczpospolitą idzie. Zbrodniarzy, sidła na nią zastawujących, wolno tak zgładzić w obronie praw naszych, jak pospolitego złoczyńcę.

Kasztelan, słuchając, obie ręce podniósł ku niebu, jakby je na świadectwo wzywał, ale nie odpowiedział, dłońmi sobie uszy zatknął, aby dalej nie słuchać, co nie powstrzymało Krzysztofa, który ciągnął dalej:

— Nie o Samuela banicję, nie o sponiewieranie rodziny naszej mścić się będziemy, boby to prywatą było, choć i ta człowiekowi krewkiemu wybaczona, ale niewoli cierpieć nie chcemy i nie możemy!

— A który was stróżami swobód uczynił i polecił wam pilność nad niemi? — zapytał kasztelan. — Są na to senatorowie i rada, są sejmy...

— A gdy senatorowie ujęci lub zastraszeni, rada milezy, sejmy naprzóźno rekryminują, bo ich wcale słuchać nie chcą, więc każdy pojedyńczy człek, milujący kraj, powinien go ratować — rzekł Samuel.

— Samku! — z pewnym szyderstwem przerwał kasztelan. — Samku! nie ubieraj się ty za instygatora przeciw drugim, gdy sam na sobie tyle masz, że nie wiem jak to dźwigniesz... Wielkie słowa, ale prywata z nich patrzy, choć się jej zapieracie.

— Ja się jej zapierać nie będę — począł Krzysztof. — Królem się on zowie, choć nie wiem, czy tego imienia godzien, ale ja go człowiekiem tylko widzę przeciwko sobie i nieprzyjacielem. Trafiałem do niego różnemi drogami, — znać nas nie chce, odpycha... więc ja to mam zjeść i strawić, a upokorzyć się? Nigdy w świecie. Wypowiedział mi wojnę, nam wszystkim wojnę, będzie ją miał.

— Na proch i miazgę was zgniecie! — zawołał kasztelan, którego głos przybrał żałosną intonację. —

O! bracia moi najmilejsi! — Skruszyć się dajcie i opamiętać, proszę was! Dusza moja przeczuwa klęski straszne i sromotę dla rodu naszego wielką, którą upór nierożumny ściągnąć może. Dajcie mi się ublaagać, uprosić, bo nie narzucam wam woli mej, choć głową jestem, ale proszę i suplikuję, zaniechajcie tych odgróžek, tych knowań i wyzywania, albowiem kleskę wywołacie. *Vana sine viribus ira*, a gdzież sily wasze? Ani wy, ani my wszyscy, gdybyśmy naszych powinowatych, Jordanów, Stadnickich, Tarnowskich, Ossolińskich pościągali, gdyby oni wszyscy z nami iść chcieli, ale nie pójdą, nie uczynim mu nic, zgniecie nas.... Nie pracujcie na własną zgubę!

Błagającym tonem, niemal placzliwie, a z powagą rodzicielską, łamiąc ręce, mówił kasztelan, ale na żadnym z braci wrażenia nie uczynił. Samuel nieznacznie się uśmiechał, Krzysztof miotał niecierpliwie, Andrzej siedział zimny i wcale nieporuszony.

Poczekawszy chwilę, a widząc, że się tu już niczego spodziewać nie może, westchnął stary, sparł na rękę i zmienionym głosem spytał Paula:

— A dzieci twoje kedy są? Wiedzą one o tem, że się ty kozackiemu motłochowi w ręce dobrowolnie rzucaś, że na kresy idziesz bez sily, jaka tam potrzebna, gdzie lada kupa z Budziaku wybiegła — o wolność i o gardło i o całe mienie cię może przyprawić, bo uchowaj Boże niewoli, bez okupu nie puszczą. Cóż na to synowie twoi, co twoja ulubiona Anusia?

Zmarszczył się nagle zmitrężony wielce tem pytaniem Samuel.

— Ja się dzieci nie zwykłem radzić, gdy mam co poczynać, — rzekł dumnie — boć więcej rozumu nad mnie nie mają.

— Ale ich miłość ku wam natchniałaby radą dobrą — rzekł kasztelan. — Chcesz je więc przed czasem sierotami uczynić?

Ruszył ramionami pan Samuel.

— Tej ja aprehensji, na Niż się wybierając, wcale nie mam — odparł. — Ginąc nie myślę, ale się salwo-

wać. Cóż jeśli Kozaków ujmę i pod buławę swą zaprzęgę? Natenczas i król i Rzeczpospolita pokłonić się będą musieli, bo im pod bokiem siadlszy, albo dokuczyć, lub usłużyć potrafię. W kraju mnie znać nie chcą, miejsca tu dla Samuela niema, — poszukać go więc musi, choćby między tymi zbiegami, którym głowa i wódz potrzebny.

A nie myślcie, aby kozactwem tem pogardzać się godziło; wiem, że go siła jest po ostrowach na Dnieprze, a czajki ich, gdy je trzciną obszyją, na morze wybiegają i Turkom dojadają i łupy zagarniają wielkie, a w skarbcu u nich może więcej złota i srebra, niż w naszym koronnym, który pożyczkami zasilać się musi.

Jeżeli myślicie, że ja pozyskanie sobie onego hetmaństwa kozackiego mam za rzecz małą a lekką, — mylicie się. Wiem dobrze, iż nie zdobędę władzy nad nimi, nie przymarlszy głodem i nie folgując ich grubym obyczajom, alem się na to zgóry ważył.

Kasztelan słuchał cierpliwie.

— Bóg z tobą, — rzekł — chcesz na Niż, — choć powrócisz z niczem, a daj Boże, z życiem tylko, wola twoja. W tem jeszcze tak wielkiego grzechu nie będzie, samowola tylko i buta szlachecka... a no przynajmniej spisków, konszachtów i owych knowań pokątnych, o które was obwiniają, zaniechacie. Ciągle na was donoszą, że to truciznę gotujecie, to zasadzki układacie, to się z nieprzyjacioły znosicie. Skończy się na tem, że jedna kropla przepelni naczynie i ty, Samku, albo Krzychnik (tak w rodzinie zwano Krzysztofa) nałożycie głową.

Podczaszy się rozśmiał.

— Ja swej bronić będę, — rzekł — a gdy mi tu zągorąco będzie, zjadę do cesarza, w którego służبę jestem wpisany, lub choćby do moskiewskiego.

— Cóż z szalonym rozprawiać! — westchnął, powstając z ławy, kasztelan. — Jam tu już niepotrzebny, swoje spełniłem.

W oknie wczesny brzask dnia wiosennego sinem

świątełkiem się zwiastował, ale pora się obiecywała wilgotna i słońca. Niebo było obłokami zaciągnięte.

Znużony czuwaniem, kasztelan kazał sobie zagrzać winnej polewki, a Samuel, nowy dzban małmazji postawiwszy na stół, sobie i braciom, krom Jana, ponapełniał kubki i wesoło pił pocichu za zdrowie przyszłego pana hetmana niżowego. Stuknęli nimi aż zabrzękły i pan Samuel, swój duszkiem wypiwszy, natychmiast go na nowo napołnił.

Kasztelan już całkiem był zajęty swym wyborem w drogę, nie na pogrózkę tylko objawiwszy postanowienie odjechania od braci. Widział on, że tu już nic nie pocznie, a sprzeciwiając się im, podrażni tylko. W milczeniu naprędce polewkę wypiwszy, gdy stary sługa się zjawił u progu, opończę, lekkiem futerkiem podbitą, podać sobie kazał.

Bracia patrzali na tę ucieczkę obojętnie, ani się go wstrzymywać starali. Owszem, wesołość pana Samuela rosła, bo się swobodniejszym czuł, gdy starszy brat z rozumem i rozwagą swą odjedzie.

Żegnali się milcząco, ledwie sobie ręce podawszy. Dopiero przeprowadzający do progu Samko czuł się wzruszonym, gdy już Jan, którego nawykł był, jak ojca szanować, miał wynijsć. Rzucił się go ściskać serdecznie, ale za późno... Kasztelan przyjął tę czułość zimno, nałożył kolpak na głowę i w chwilę potem koce jego, konie i wozy i on sam już ciągnęli drogą ku Krakowu.

Trzej bracia pozostali sami na Borówce.

III.

Gdy owego mentora nie stało, zaraz jakby wiatr inny powiął po trzech młodszzych; wielki kamicień spadł im z piersi.

Samuel, który żegnając w progu kasztelana, powieki miał zwilżone, otarł je raźno, bo u niego płacz i śmiech chodziły łączno w parze i naprzód kubek wychyliwszy, głos podniósł.

— Niech zdrów jedzie stary, który się już do tych dzieł nie zdał, gdzie potrzeba żywego animuszu. Wiek ma prawa swoje; myśmy, chwalić Boga, jeszcze inni, to też swobodnie się teraz naradzić, nic nie zakrywając, możemy.

Nietylko on, ale i pan Andrzej, który wprzód wzrok trzymał spuszczony, a mówił niewiele, spojrzał śmieej. Krzychnik wstał i pasa rozwiązał.

— Na kasztelana — rzekł — ja tyle tylko rachuje, że gdybyśmy popadli w małnię, bronić nas będzie i nie opuści, choć z nami nie był... a do roboty ciemnej on się nie zdał. My zaś teraz innej, jak ciemną, podejmować nie możemy, bo nam jasną zasieczono.

Złowrogo prorokuje Jan, ale on z innej strony na to patrzy i tego, co my, nie widzi. Kręci się tam, kiedy około króla i hetmana posłuszni sami słudzy, a my widzimy i słyszmy, co się po obszarze tej Rzeczypospolitej dzieje. Płacz i zgrzytanie zębów. Żaden z królów się na to nie ważył, co ten goły pan o wilczych zębach. A no nie byłby on taki, gdyby nie szarak, gdyby nie pan Zamojski! Ja spelna nie wiem, kto z nich panuje i czy Zamojski hetmani u Batorego, czy Batory u Zamojskiego! Bez niego onby kroku nie stąpił. Gdyby dziś się udało Zamojskiego zgładzić, jutroby albo Batory do Siedmiogrodu uchodzić musiał, albo innym być i tak nam skakać, jako my mu zaśpiewamy.

— Święta prawda, — potwierdził Andrzej — ale na hetmana się porwać trudno, bo wszędzie swoich ma i szczęście mu sprzyja, a na męstwie i chytrości mu nie zbywa.

— Choć trudno, przecie się ich pozbyć musimy, *periculum in mora*, — zawołał Krzysztof — a nie, to nas w chłopy obróca. Co tu szeroko wykładać, — widzicie sami. Te pulki chłopskie i cudzoziemskie, niech co chcą gadają, że im piechota potrzebna, a szlachcie z konia zsiadlszy, do niczego... te pulki na nas są wymierzone... niemi, gdy wskażą, mogą i sejm rozpoczęć.

— Nie ważą się! — zamruczał Andrzej.

— Odwaga ich rośnie przez naszą głupią pokorę —

ciągnął dalej Krzychnik. — Dziś się nie ważą może, ale za jutro nie ręczę.

— Zważcież, co czynili po moskiewskich wyprawach, aby despekt starej szlachcie wyrządzić. Posłuchajcież pana Bartosza Paprockiego, gdy liczyć zacznie, ile oni tam napoczekaniu nowej szlachty nakreowali z lada drukarzy i puskarzy, mieszkańcówstwa i gminu. W zawody król swoim herbem, Zamojski połowicą swego obdarzał, a to wszystko dlatego, aby z tych łyków wiernych slug sobie pomnożyli. Mają oni prawo do tego, czy nie, — nie pytają, tak jak i w innych sprawach; król i hetman, okrom swej woli, mało kogo do rady przypuszczają. Czem to pachnie, to my wiemy, ale nie my też jedni, mamy takich dość, co z nami trzymają.

— Po całym kraju malkontentów siła, — dodał Andrzej — temu zaprzeczyć nie można, ale trwogę taką rzucili na ludzi Ościkiem, a hetman tak głośno zapowiedział, że nikogo szczędzić nie myślą, iż teraz ci, co najwięcej ich nienawidzą, najpodlej milczą.

— Bo się nie mają do kogo przyłączyć, a sami słabymi się czują — odezwał się Samuel. — Ja na Niż, bo to już u mnie postanowione, a Krzychnikowi przypada w domu motać i gotować.

— Jakby było z kim, — westchnął podczaszy — jam nie od tego. Choć jeszcze nie wiem sam, na czyją korzyść i stronę się przechylę i działać będę, ale to pewna, że spać się nie położę. Na cesarskim dworze jakom miał związki, tak je zachowałem, z moskiewskim począłem zmowy, ale przez posły wilk nie tyje — nie wiedzieć skąd wziąć ludzi, a do Moskwy się boję gorzej może, niż do Turka. Sprawa niełatwia. Teraz jeszcze to widmo Ościka stanęło na granicy i odstrasza.

— Czyż dlatego opuścić ręce? — począł Andrzej. W czasie tej rozmowy, żywo prowadzonej, Samuel, którego już poważniejsza jej treść nudzić poczynała, siadł nad kubkiem, pił i nucił sobie jakąś piosenkę. Znużonym był.

Krzysztof dopiero ożywiać się poczynał.

— Ja jestem dobrej myśli — mówił dalej. — Gdy nie dziś, to jutro dobra nasza! Choćby panowanie trwało jakiś czas, a już i skrócić można (tu odkaszlnął znacząco), nic po niem nie pozostanie. Cudu tego nie dokaże Batory, aby potomka po sobie zostawił — to darmo! Po nim Rakuszanin gotowy i nauczony rozumu, a z nim my. Królowa jejmość, choćby króla przeżyła, wpływu takiego, jak za elekcji Henryka, mieć nie będzie. Doczekała się tego, że ją wybrano i na tronie osadzono, a co jej po tem?

Gdy nie panowała, więcej władzy i znaczenia miała, niż teraz, a wie o tem, że ja pan Zamojski pozbawił wpływu na męża, to też niecierpi go. Można się domyśleć, że siostrzeniec będzie się starała wprowadzić na tron, ale się to nie uda, a gdyby się powiodło, Zamojski już przy nim się tak rządzie nie będzie, jak za Batorego. Przestrzega młokosa pierwsza ciotka, aby się za czuprynę wziąć nie dał. Wszystko to więc przemijające i przyszłość nasza! — dokończył Krzychnik.

— Albo, albo — z odrobiną sceptycyzmu wtrącił Andrzej. — Jeśli się ten stan długo przeciągnie, łatwo rachuby twoje chybić mogą. Oni z każdym dniem siły nabierają, a szlachta słabnie. Albo to wy nie znacie panów braci naszych, którym byle się dać wykrzyżecę, będą potem głosowali i na pobór, i na pospolite ruszenie. Pod koniec zmiękną, gdy im będzie pilno do biszku i do piwa, albo do jejmościnej pierzyny.

Rozśmiał się Samko.

— Dośćby już tego — przerwał. — Anoby coś welszego przystało.

— Nie pora; — rzekł Krzychnik — obradźmy naprzód to, z czemuśmy tu ściągnęli. Wierzymy wszyscy, iż pozbyć się potrzeba albo króla, albo pana hetmana, lub obu społem.

Andrzej głową, a Samuel głosem potwierdził wniosek.

— Samko na Niż ciągnie, wy, bracie Andrzeju, do tegoście niesposobni, na mnie więc spada wszystko. Nie wymawiam się, ani wyrzekam, choć nie wiem, jak

się do tego wezmę, przy tem jednym stojąc, abyście mi, popadnę-li w biedę, w pomoc przyszli i nie opuszczali.

Ruszył się marszałek, z gotowością oświadczając.

— Bądźże pewien, że pójdziemy z tobą, — zawołał — nie opuścimy cię. Więcej powiem, że Jan, choć nam sojusz wypowiedział, od rodziny się nie odrączy, więc bądź spokojny.

— Mnie znasz — dorzucił Samko. — Jam twój, a rozumu, choć go siła nie mam, mienia, jakie pozostało, i zdrowia nie będę skąpił. Czyń tylko, co można, abyśmy się panowania tego zbyli.

— Mówiliście, — rzekł po pewnym wahaniu Andrzej, który się do Krzysztofa przysunął — że z tego panowania nic nie pozostanie, bo już potomstwa spodziewać się śmieszemb było, ale oni też mądrzy są. Zamojskiemu wladza zasmakowała, kto wie, jakie myśli po mózgu mu się zwijają. Niedaleko od tronu stoi, może mu się zda, że na osierocony wdrapać się potrafi!

Samuel i Krzychnik razem zakrzyknęli:

— Niedoczekanie szaraka!

— Posluchajcie ino, jak się on do tego bierze — ciągnął dalej pocichu Andrzej. — Tajemnicą to jest jeszcze dla wszystkich, alem ja tego nie wymyślił, wierzęce mi. Ma synowicę Batory. Hetmanowi dawno pierwsza żona umarła; to pewna, że się myśl narodziła jeszcze go zbliżyć do tronu, dając mu królewską jakby córę przybraną. Co wy na to?

Samuel i Krzysztof zarówno zdumieni spoglądali po sobie niedowierzająco, słuchali, ale wiadomość ta nie uczyniła na nich zbyt wilekiego wrażenia, bo ją za zmyśloną mieli.

— Baśń ktoś splótł — rzekł Krzysztof. — Gdzie to słychana rzecz, aby król poddanego tak z sobą spoufała, ośmialał i łączył.

— I mnie się zda, że to przyjaciele szaraka wymyślili — zawała Samko. — U nas o synowicy królewskiej nikt dotąd nie słyszał. Zamojski sam tej myśliby się powziąć nie ważył, a król...

— Król nim tylko żyje! — rzekł Andrzej. — Bez

niego kroku nie stąpi, bez rady jego papieru nie podpisze, kraju nie zna, ludzi nie rozumie, więc ślepy; chłopu, co go prowadzi, gotów ostatek oddać, aby go do przepaści nie ściągnął. Gdy się tak małżeństwem związał, łacno potem przyjdzie hetmanowi, bulawę rzuciwszy, po sceptrum sięgnąć.

Na długą chwilę wszyscy zamilkli. To, o czym mówił Andrzej, nikemu jeszcze wiadomem nie było. Zaledwie w głowie króla zrodziła się ta myśl, której podobno pierwszym tworem był zmarły brat, co sobie wiele upodobał hetmana. Tak dziwnie i nowo to brzmiało, tak zdawało nieprawdopodobnem a grożecem, iż nawet Samuel, nie lubiący rozmyślać, czas jakiś siedział, zatopiwszy się w sobie.

— Proszę was, abyście o tem nie glosili — odezwał się Andrzej po przestanku. — Wieś to jest, która łacno hetmanowi u ludzi większy jeszcze mir wyjednać może, więc nie nam z nią chodzić i wybębniąć.

— Tem bardziej, — dodał Samko — że ja jej nie wierzę, a gdy uwierzyć będę musiał...

Rzucił się niecierpliwie na siedzeniu, wypił nalane wino, napelnił kubki.

— Spocznijmy i niech nam głowy odejdą, — zawołał — zażyjmy czasu! Co u licha, wędzić się tak ciągle tym czarnym dymem złych myśli nie można. Mam z sobą Wojtaszka! Chęcie, zawołam go, aby na lutni nam zagrał i pieśni jaką zaśpiewał? Kto Wojtaszka nie słyszał i nie zna, nie może powiedzieć, aby prawego cytarzystę i śpiewaka znal, bo jemu równego niema!

— Jam ci na dworze u księcia Ferrary i po innych włoskich dosyć nasuchała ich. — odparł prawie obojętnie Andrzej — nie ciekawym tak dalece.

— A ja też u cesarza, który się we wszystkich kunsztach kocha, niemakom ich spotykał; nie sądzę, aby twój domorosły Wojtaszek tamtym dorównał.

Obraził się Samuel.

— Nie domorosły jest, — począł gorąco — bo to obieżyświat i choć młody, dużo widział, a dziwiono mu się zagranicą. Jaki bestja chleb nie z jednego pie-

ca, począwszy od P. Marji w Krakowie i księży bernardynów, kiedy mu już habit nadziano, ale go niedługo nosił. Wychwalać go nie będę z innych zalet, bo lotra kawał jest i szubienicy wart, ale gra i śpiewa jak anioł.

Chociaż epizod ten z Wojtaszkiem, nagle obok najpoważniejszej materji do myślenia dającej wtrącony, mógł braci zdziwić — kto znał Samka fantazje, nie zdumiał się temu wcale. Tak samo nieraz, gdy wszyscy traktowaniem najważniejszych spraw zajęci bywali, Samuel, przez okno konia zobaczywszy, dla niego wszystko porzucał, długo nigdy nad niczem wytrwać nie umiejąc.

— Mnie teraz twój Wojtaszek nie w porę, nawet ciekawości nie budzi — przerwał Krzychnik. — Co mi tam. Batorówna mi w głowę zajechala.

Z upartym Samkiem ciężko się sprzeczać było. Nie zważając na Krzychnika, począł na głos wielki wołać swojego lutnisty. Ten się może spodziewał, iż pan bez niego i bez pochwalenia się z nim nie obejdzie. Był więc wpogotowiu.

Obaj bracia podnieśli ciekawy wzrok, gdy wchodził. Mężczyzna to był może lat trzydziestu, wielce uroczwy, a snać urodą swą chełpliwy, blondyn z włosami długimi, puszczonemi w puklach na ramiona i w stroju włoską modą. Na twarzy pięknej, ale bladej i zmęczonej, duma jakaś, zarozumiałość, pogarda ludzi i miłość własna nadto się wyraziście malowały.

Choć pokornie się panu skłonił, bo z Samkiem żartować nie było zdrowo, ani mu się stawić okoniem, widać było, iż go to poniżenie chwilowe kosztowało wiele. Lutnię, której nigdy nie rzucił, i teraz miał na ręku.

Skinął coś, poszepnąłwszy cicho Samek i dodał głośniej:

— Zaśpiewaj co wesołego, bośmy się zachmurzyli, jak to brzydkie niebo dzisiejszego poranku, a pochwali się, że ani księcia Ferrary, ani cesarskim lutnistom nie dasz się wyprzedzić.

Wojtaszek, nic nie mówiąc, tuż przy drzwiach na

ławie miejsce zajawszy. lutnię podstrajać zaczął, palcami przebiegł po jej strunach, na pana spojrzał, który mu głową dał znak, i zanucił.

Grał na lutni towarzysząc sobie ze sprawnością tak wielką, iż poniekądby kunsztem tym głosowi swemu krzywdę mógł czynić, gdyby w istocie nie był czysty, silny a wprawny tak, iż od razu po nim mistrza było poznać.

W tej karczmie pustej ten śliczny dźwięk dziwnie się rozchodził i sprzeczał z lichą gospodą, która go nie była warta.

I pan Andrzej, i Krzychnik w istocie melodją głosu zachwyzeni zostali, bo się nic podobnego nie spodziewali, ale i piosenka, która wesolą być miała, treścią ich swą zajęła. Była ona żalem opuszczonej małżonki, szydersko wymyślonym tak, aby Anny Jagiellonki dolę smutną malował.

Usiłowała ona niby powstrzymać przy sobie męża, który najrózniejsze zmyślał potrzeby, aby się od pieczot jej uwolnić. Więc jechał na łowy, potem na wojnę, znów na radę, na nabożeństwo, a jedna strofa parodjowała skargę nieszczęśliwej królowej, druga — obawę małżonka, aby nie był zmuszony ze starą czarownicą pozostać.

Paszkwilusz to był niegodziwy, który nietyle kunsztem i poezją, co wielką złośliwością i grubiaństwem, osłoniętem niby, się odznaczał. Wywołał on śmiech wielki Krzychnika, półuśmiechek Andrzeja i kubek wina od Samuela. Ale zaledwie się skończył, Samek drugiej pieśni zażądał.

Lutnistka, nim mu ją podyktował, sam począł, a jaką miał myśl, wybierając ją, on tylko wiedział; ale zaledwie się ona odezwała, nagła zmiana powlokła lice pana grubym smutkiem. Zmarszczył czolo, spuścił głowę, a nie miał odwagi zakazać lutniście, aby śpiewać się nie ważył dalej.

Wojtaszka posiąść było można prawie o chęć jakiejś zemsty nad własnym panem.

Zagadkowa to była piosenka, niby wesoła, hula-

szcza, rozpasała, a rozpacz z niej i ból tryskał taki, że się płakać chciało słuchając, choć każda zwrotka do kielicha i do szalu wołała.

Po Krzychniku nawet dreszcze poszły jakieś i z litością spojrzał na Samka, który, słuchając, wił się z bólu. Wiele aluzji zrozumieć w niej było trudno, równie jak zuchwałstwa śpiewaka, który nią pana swojego częstował.

Samuel porwał się nareszcie z siedzenia i zakrzyknął:

— Dość! precz!

Lutnistka nie dał sobie powtarzać rozkazu, urwał nagle i zniknął za drzwiami. Można go było posądzić, iż piosenkę wybrał umyślnie, aby przedzej był odprawionym.

Po wyjściu jego długo pan Samuel pozostał przybity. Wrażliwa jego natura nie dawała mu się uspokoić.

— Lutnisty ci powinszować — odezwał się marszałek. — Słyszałem wielu i przedziwnych, alem lepszego i we Włoszech, gdzie o głos piękny nietrudno, nie spotkał. Tylko sobie pieśni dobiera nie szczególnie wesołych.

— Na przekorę mnie — rzekł, mrucząc gniewnie, Samek. — Trzymam go siłą, mocą, radby się na swobodę wyrwać, więc mi doskwiera jako może, choć go złotem obsypuję. Mściwy i zły jest. Wie on, że na dwór się gdzieś dostawszy, lepiejby niż u mnie opływał, i ja to wiem, ale puścić mi go żał. Są chwile w życiu, że się pieśni potrzebuje jak chleba i powietrza. Wojtaszka tego pilnować muszę i wiem, że wkońcu mi się wydrze, ale póki mogę...

Zbój ten i pieśni sam układa — dalej mówił. — W domu co jest niewiadom wszystkie za nim giną i to niemila rzecz, bo ich i jego pilnować potrzeba...

— A co ci po pieśni! — odparł pogardliwie Krzychnik — czasem jej posłuchać, toć jeszcze, ale się zanią ubiegać, gonić i dla niej trzymać nieznośnego człowieka, na to chyba Samka potrzeba.

— Tak! — potwierdził Samuel. — Znam to do sie-

bie. Ślabości mam niemęskich wiele, dziwactw od młodości panujących nad mną nie zliczyć. Dziś nawet, gdym za nie krwią i łzami dużo płacił, pozbyć się ich trudno. Trują one życie, ale podczas osładzają je. A potem, jam taki człowiek, że gdy na mnie przyjdzie godzina, chwyta mnie niby jakąś siła nieczysta i rzuca mną, gdyby szalonym. Naówczas ja sobą nie władam, zabijam, choćby swoich, we krwi się pławię, gotowem palić i mordować, choć wiem, że jutro plakać na to będę.

Westchnał.

— Choroba to, czy nałóg? — mówił dalej. — Ludzie prawią, że gdy nieboszczka matka ze mną chodziła, zadano jej coś takiego, żeby szalonego męża na świat wydała. A nicby to nie było, gdybym szalonym ciągle był i tego do siebie nie znał, ale ja wiem, co czynię, a wstrzymać się ani myśleć, bom nie duż.

Jak gdyby ta pieśń Wojtaszka, za którą tęsknił i braci nią chciał częstować, całkiem umysł chmurą zawlokła, zmieniło mu się usposobienie i z ochoczego stał się posępny, a prawie sierdzisty. Co widząc, bracia, że go znali, nie przeciwiли mu się, milczeli, dawali żółć tę i gorycz z siebie zrzucić.

Patrzał tedy na te drzwi, którymi się Wojtaszek wymknął i już, jakby o wszystkiem innem zapomniawszy, tylko o nim i sobie coraz coś pomrukiwał, zwracając się do Krzychnika, który lepiej od Andrzeja był w jego naturę wtajemniczony.

Wskazał na drzwi, pochylając się ku bratu.

— Zobaczcie, zobaczcie tego Wojtaszka, ja mówię wam, na tem się skończy, że albo on mnie, albo ja jego o gardło przyprawię. Za wiele on rzeczy o mnie wie, ba, wszystko! myśli moje z gniazda wykręca, tajemnice mi z pod serca dobywa, a ja jego czasami, jak psa nienawidzę, czasem, jak własne dziecko miuję. Wiem, że zły człowiek jest, że sposobności tylko czeka, aby mnie zdradzić, a zbyt się go nie mogę.

Twarz Samuela gorączkowo się mieniła i mówił coraz żywiej, trzęsąc się, niespokojny.

— Mam siedem zabójstw na duszy mojej, a tych, których z namowy mej ludzie dokonali, i siedemdziesiąt siedem liczyć mało... mogę więc ósmego wziąć, — niewiele zacięży. Zabiłem Trepkę, w las go wywiódlszy dlatego, że sprawę mą z nieboszczką żoną podpatrzył, a wołał o pomstę, iż ją niesprawiedliwie zbiłem... Czemuzbym i Wojtaszka, który więcej wie, nie miał uśmiercić?

Zwrócił się z tem pytaniem do Krzychnika, który, namarszczywszy się, odparł:

— W takich razach o radę nie pytają nikogo. Co mi do Wojtaszka! Pilniej się nam innego zbyć, a nie wyrostka, któremu nikt wiary nie da.

Pan Samuel, już myślami snać daleko pobiegłszy, mówił nawpół do siebie:

— Trepka mnie we śnie prześladuje. Przychodzi niemal co noc i odgraża się: zabiłeś ty mnie potajemnie, ciebie zamordują publicznie i sromotnie!

Za duszę żony modlę się, zakupiłem mszy siła, a i ta mi pokoju nie daje. Tej mi samemu żał, bo niewinną była, a przez zdrajcę Turczyna i tę niewiastę, gorszą od żmii, zginęła. Wojtaszek to wszystko wie i moją mękę zna, a nią się napawa, jakby miód pil. Kandjan też na mnie jako na szaleńca i gwałtownika skarży za niedźwiedzia. Dominikanie za tego, com go wywałaszyły kazały, ale mu się to należało, bo dla nałożenstwam go trzymał w domu, a on mi dziewczęta jejmościene psował. Com się nie miał pomścić?

Wstał mówiąc to, nalał sobie wina znowu raz i drugi, pijąc już sam, ani Krzychnika, ani marszałka nie prosząc, bo się zupełnie zapomniał...

Wtem dzień się już dobry robić zaczął, czeladź spała, a im na sen się nie zbierało. Siedzieli wszyscy. Andrzej opowiadać zaczął, że głodny był. Skoczył więc pan Samuel budzić swoich, aby podawali co przedzej takiejadło, jakie pod ręką się znalazło i wina siła. Ochotę bowiem miał do picia niepomierną.

Ktoby go pod ten czas widział, a nie znał tak, jak go bracia znali, musiałby za szalonego mieć, bo raz sam do siebie mówił, śmiał się, to w głos narzekał, to się odgrażał, a ludzie i sprawy przeszłe, i teraźniejsze mieszały się w tej nieporządnej mowie, że polapać ich związku było niepodobna.

A no Krzychnik wiedział, że u pana Samuela chandra taka była przechodzącą i mijala. Gdy mu co do głębi poruszyło sumienie, wówczas stawał się prawie szalonym. Gdy tu naraz wszystkie dawne sprawki widok Wojtaszka wywołał, musiał z niemi walkę stoczyć.

Wtem Krzychnik, pomyślawszy, zapytał:

— Tego Wojtaszka skądźś to ułowił? Co zacz? Z twarzy i postawy szlachecko wygląda, a z kunsztu i tej służby inaezej. Czyżeś ty go na swą biedę wychował? czy przyjałeś już odkarmionego?

Zwrócił się p. Samuel.

— Wojtaszka... — rzekł — sam djabeł nie wie, skąd się on wziął, a co dziwniejsza, i on też swoje originem nie wie. Tak jest na pewno. Pamięta tyle, że chłopięciem bardzo małem u Panny Marji w Krakowie w szkole pod lawą na worku słomy sypiał, że go tam bito i za uszy targano, że się uczył i rósł. Potem jednego dnia, gdy go rózgami wysiekli, na cmentarzu z dziewczyną nadybawszy, uszedł od Panny Marji do bernardynów i tam habit wdziałał. Głos miał piękny i w głowie rozgarnięto, ale sierota a bękart pewno, roił od dzieciństwa i po dziś dzień, że mu wszelkie wielkości należą, że musi być rodu dostoijnego, że rodów znajdzie i kiedyś siądzie wysoko. Tego mu z głowy nie wyjąć. Widzieliście go? pojrzawszy, zda się królestwa dziedzic, tak się z sobą nosi i chodzi.

— Puściłbyś go! — rzekł Krzychnik.

— Nie mogę, choćbym chciał — odparł Samuel. — Naprzód pod ten czas on nadto wie, a potem, jak mi go zabraknie, oszaleję. Mnie i on, i pieśń jego potrzebna.

Wtem, gdy powoli zimne i ciepłe półmiski przy-

nosić zaczęto, a pan Andrzej, który na stole sparty drzemał, ocknął się. Samuel zaś, już dobrze podchmielony, coraz się głośniej i raźniej poruszał, a Krzychnik do niego dostrajał, począł marszałek, wskazując na okna:

— Czasuśmy dosyé nadaremno stracili, choć nie potośmy się zwolali, aby Samko się przed nami spowiadał, raz, że bez spowiedzi my go dość znamy, powtóre, że choć my go rozgrzeszymy, co mu to pomoże? Zatem bylbym tej myśli, iż wrócić trzeba do tego Niżu albo i do naszej wojny przeciw królowi i „Czarnej Radzie“.

Samuel siadł za stół.

— Niechaj moje przepada! — rzekł — mówmy o wspólnych sprawach.

— Więc o Niżu! — zawołał Andrzej. — Wiesz, że się na cię krzywią, i że znowu uniwersaty na cię slać gotowi, jako przed kilku laty, gdy cię na granicy poczuli i starostom imać kazali; niedobra to więc rzecz ich nadaremnie drażnić, gdy przystałoby raczej wprost się rozprawić i skończyć.

— Gdyby można, jam gotów — odparł Samuel. — Kulibym nie pożałował, a wiecie, że wróblom nią główny ucinam... a no, gdzie się ruszę, naprzód o mnie wiedzą już i czyhają... dostęp trudny... kroki moje śledzą. Dlatego lepiej, gdy ich zmyślę i na Niż albo Wołoszczyznę zbiegę, kiedy krok w krok za mną chodzić nie mogą, a wrócić potrafię tak, aby o mnie nie wiedzieli. Jest też co na Niżu poczynać...

— Tego my nie widzimy — odparł Andrzej — a zda się nam, gdyby tam miód podbierano, jużby się pasiecznicy znaleźli. O Niżu mówią, że nietad tam wielki, a włóczęgowie ze świata całego i rozbójstwo... Taki naród za łeb pochwycić, albo w karby go wprawić, nie Samuela na to potrzeba.

Śmiał się Samek.

— Właśnie może tylko ja ich uchodzę, bom podczas taki, jak i oni. Macie zaś wiedzieć, żem słał do nich raz i drugi z podarkami, jak się patrzy, z obiet-

nicami, co wdzięcznie przyjęli. Jacy oni są, to są, a rozumieją, że gdy wodza dostaną, dopiero znaczenia nabędą. Zaś prosty chłop im nie starczy.

Zrobię co na Niżu, czy nie, na dwoje o tem wróżono, a no próbować wolno, rozpatrzyć się nie grzeszno, życie nawet ważyć nie kosztuje mnie, bom je i tak już zmarnował. Zawładnę Niżowcami, naówczas i król, i „Czarna Rada” będą musieli ze mną się ukladać, bo im zarówno zła, jak i dobrego przyczynie mogę. Przy czem uda się li coś z Wołochem, i to niezłe; zwącham się z tatarskim chanem — nie gadrę tem. Mnie o zdobycie sily jakiejś idzie, a skąd ją wezmę — furda; byłem ją miał.

— Ja to wiem, — przerwał Krzychnik — że ciebie nie powstrzymać, gdy ci się czego zachce; jedź więc na Niż, choć tubyś był potrzebniejszym. Na jakiekolwiek porozumienie z tym królem i tym jego sługą liczyć nie można; na nożeśmy poszli, więc nam wszystko musi być dobre, co drogę oczyści. Czy kula w Niepołomskiej puszezy, czy trucizna w napoju zadana, czy zasadzka i śmierć w polu...

Andrzej słuchał, nie okazując najmniejszego poruszenia, nie sprzeciwiał się.

Samuel dodał:

— Albo li żyw z Niżu powróczę, to was w pomoc stanę, lub zginę, to was dorosły Aleksander służyć będę. Dziś u mnie jedno kozactwo w głowie, wytymczasem wypatrujcie, rozsłuchujcie się i gotujcie.

— A sila ich z tobą na Niż ciągnie, boć tam w samotrzecie albo i dziesiątek iść trudno? — zapytał Krzychnik.

— Szlachciców chudego pacholstwa, ale animuszu nienalego, mam już osiemdziesięciu przeszło — rzekł Samuel. — Mało, ale na moje sakwy, które ich żywić i poić muszą, za wiele. Hajduków mało nie drugie tyle z czeladzią muszę przy sobie mieć, konie też, okrom tych, co pod nami pójdą, bodaj tabun cały педzię muszę. Bez podarków z gólemi rękami ani do Kozaków, ani do Tatarów nosa niema co pokazy-

wać; i na to pójdzie grosza niemal; ale choćby co z wiosek zastawić przyszło, pójdę! pójdę!

Żaden z braci już go nie myślał wstrzymywać, bo im ten opór i przekonanie twarde, iż się tam coś da zrobić, wydawało się jakby przeczuciem przeznaczenia. Samuelowi zaś śmiało się hetmaństwo kozacze, w niedostatku innego, bo odrazuby mu dalo taką powagę, z którą się liczyć doma było nieodzworne potrzeba.

Do pół dnia trwały narady z braćmi, ale już przed nocą zjadlszy i wypiszy, co z sobą mieli, poczęli się panowie Zborowscy w drogę wybierać. Przyczem Samuel na odjeździe do pijatyki tak obu zmuszał i sam tak okrutnie pił, że gdy na konie siadać przyszło, wszystkich ich służba na siodła podsadzać musiała, okrom tylko Samuela. Temu wprawdzie wino szaleństwo sprawiało, język i ręce rozwiązywało, ale sił nie odejmowało.

Krzychnikowi poleciwszy dzieci swe i domy, Samuel wprost stąd pociągnął do dóbr swoich, w których malemi oddziałami rozłożone były werbunki szlachty, która się z nim na Niż do kozactwa iść ofiarowała.

W parę tygodni potem rozeszła się wieść po całej Rzeczypospolitej, iż banita Zborowski, zrozpaczywszy o sobie, na Niż do kozactwa zbiegł i hetmanię mu się spodziewa. Drudzy zaś głosili, jakby zawczasu okrzyknięty był ich wódzem i przeciwko Turkom na przekorę królowi ciągnął.

IV.

W Krakowie był pod ten czas Krzysztof Zborowski, gdy Samuel, wyciągnawszy w przeszło sto koni na Niż, długo bardzo żadnej o sobie wiadomości nie dawał nawet braciom. Tym, które ich ze strony dochodziły, wiary dawać było trudno.

Oddalenie się z kraju banity, który około siebie

najwięcej wrzawy podnosił zawsze i najbardziej oczy zwracał, choć od Zborowskich oko hetmana odciągnęło, bo się bardziej zuchwalego kroku od Krzysztofa nie obawiał, nie poprawiło sprawy ich u króla i hetmana. Wiedziano, co trzymał o całym rodzie tym, z wyjątkiem Jana, który choć braci zawsze bronił przed hetmanem, nie podzielał ich niechęci i do pokątnych ich robót się nie mieszał. Andrzej też tak stał, że na siebie oczów nie ściągał, ale mu nie wierzono. Zamojski wiedział, co o nim trzymać.

Krzysztof ani myślał, ani się starał udawać miłość dla króla i jednać się napozór z Zamojskim; rozumiał to, iż mu nie zawierzą, a całą ufność swą pokładał w Rakuszaninie, bo choć mówiono, że carowi moskiewskiemu wierność nie tylko przyobiecał, ale po przysiągli, choć z nim nie zrywał, niewiele pono na niego rachował, a po śmierci Ościka strach go ogarnął, zwłaszcza, gdy w papierach jego listy Zborowskich, czy wzmiankę o nich znaleziono.

Nie było tam dowodu zdrady, nie czyniono przeciwko niemu nic, lecz ostrożność kazała zaniechać stosunków, które na teraz nie przedstawiały korzyści żadnych.

Kręcił się więc pan Krzysztof po kraju, malkontentów jak on sam dla cesarza na przyszłość przy sobie skupiając, to na wsi, to w Krakowie, to zagranicą bawiąc, znikając i ukazując się niespodzianie, gdy dnia jednego znać mu dano, że wyprzedzający pana Samuela od boku jego szlachcie Zarwaniec zjawił się w Krakowie i podeczaszego szukał. Łatwo go mógł znaleźć, bo Zborowscy, ilu ich było, gdy w Krakowie byli, nie gdzie indziej mieszkały, jak w swoim domu na Franciszkańskiej ulicy.

Dwór był stary, a dla rodziny licznej przez ojca Marcika jeszcze pobudowany tak, że i niemało gości, i dwory, i ludzi mógł pomieścić. Zajmował oparkanioną przestrzeń bardzo znaczną, w której czas jakiś bodaj napaści się nawet było można opierać, tak był dobrze obwarowany.

Stu ludzi i koni łacno mogło tu znaleźć pomieszczenie, a tabor wozów w ogromnym rozłożyć się dziedzińcu. Wytworności nie było żadnej, bo, jakieśmy mówili, przywoził z sobą każdy co najpotrzebniejsze sprzęty, ale izby szły rzędem jedna w drugą ogromne, jasne, w których za stół można było ludu posadzić głów dosyć.

Mieli tu każdego czasu Zborowscy, jak inni panowie po miejskich dworach, i szopy, siana pełne, i śpichrz z owsem, i piece na chleby, i loch na piwo.

Pan Krzysztof zajmował przedniejszą część dworu i tu swoich przyjaciół a posły z różnych stron przyjmowały podczas dniami lub nocą. Czynny był bardzo, choć nierad z tego, co się święciło.

Tajemnica owa, którą marszałek przywiózł do Borówki, iż król miał dać Zamojskiemu Batorownę, już dla nikogo sekretem nie była. Noszono się z nią sarkając, a ona zazdrość, którą łaska króla dla hetmana dawniej budziła, urosła teraz do najwyższej miary. Nienawidzili niechętni króla, ale stokroć więcej hetmana, że z między szlachty wyszedłszy małym, dorósł tak wysoko, iż u tronu stał. Przypisywano mu bowiem w przyszłości zamachy na koronę, która po Batorym bez dynastii zostać miała.

Wprawdzie wiek i zdrowie Batorego wszystkie te widoki na plan daleki odsuwały, lecz zawsze już obawiano się, a nikt więcej nad Zborowskich, bo ci wiedzieli, że będzie niepodobna przejednać się i zaufanie pozyskać.

Gdy mu o Zarwańcu, którego znał dobrze, oznajmiono, niecierpliwić się począł podczaszy, iż do niego pierwszego się nie zgłosił, alisci i on sam stawił się.

Samuelowy był to sluga, nawet na oko od pana coś przejawszy, jak się to dzieje. Zuchwały, krzykliwy, zbój do korda przedki, to też od niego na twarzy i głowie liczne miał upominki, siłacz okrutny, do wypitej i wybitej, ale i do chłodu, i do głodu, i przymęcenia jedyny.

Zarwaniec był przez Samuela w ważnych razach

używany, gdy szło o tajemnicę, albo o pieniądze. Temu oboję powierzyć było można śmiało. I tym razem Zarwaniec od Niżu przybył dla przywiezienia grosza, o panu Krzysztofie nie wiedział i dlatego naprzód, gdzie indziej się zwrócił, bo mu pilno było z sukursiem dla pana.

Wszystko to w niewielu słowach opowiedziawszy, siadł i spoczął, dopomniał się też o posilek.
siadł i spoczął, dopomniał się też o posilek.

— Niech to — rzekł — waszą miłość nie dziwi, żem się tu nie stawił zrazu, że teraz sam się strawy i napoju napraszam, ale bo ja z piekła powracam; w głowie mi jeszcze szumi, a w żołądku cknij od tego głodu, któryśmy z panem żołędziami, grzybami i suchimi jagodami musieli tumanić.

Rękami obiema, podniesionemi nad głową, plasnał...

— Sto lat, żyw będę, tego nie zapomnę — mówił dalej. — Czasu całej tej wyprawy nie odstąpiłem na krok od pana, dzielilem z nim wszystko.

— Mówże, — przerwał Krzysztof — bom i ja nie mało ciekaw.

Zarwaniec głowę podniósł.

— Niech miłość wasza nie myśli, że to się tak da w dwóch słowach zamknąć; będzie tego na jeden, albo na dwa wieczory, z czego pan mój wprawdzie sławę może mieć wielką, ale korzyści najmniejszej; a co nas to kosztowało, mieszek wie i — Pan Bóg! Dlategom też przodem skoczyć musiał, by co grosza ulowić, inaczej nas Zborów nie zobaczy. Wszelako Bogu dziękować, żeśmy z życiem wyszli, bo nie jeden raz się zdało, że tam na kresach przyjdzie ginąć marnie.

— Toć już Samkowa wina własna — odezwał się pan Krzysztof. — Niech powie, czyśmy mu nie odradzali wszyscy, nie odwodzili... nie pomogły perswazje!...

Ruszył ramionami Zarwaniec.

— Tyle korzyści naszej, że teraz tego Niżu nikt lepiej nie zna od nas — dodał.

Podano Zarwańcowi jedzenie i piwo, który się chciwie przysiadł do obojga, potrosze o panu Samuelu mówiąc, jako cudem zdrowo wyszedł z tego ognia i imprezy swej nie żałował.

Na wieczór tedy, gdy marszalek Andrzej się obiecywał, zamówiono Zarwańca, aby się z powieścią o Niżu stawił. Gotów był, to sobie wymawiając, aby oprócz dwu panów braci, nikogo więcej nie było.

— Z panem moim — dodał — jam go świadom, ostrożność zachować potrzeba. Ja po swojemu rzecz opowiem, jakem ją widział, a który wie czy się to spodoba jemu? Więcbym nie rad, aby rozgłaszano, co on może inaczej zechce tłumaczyć. Jam prosty człek, com widział, powiem.

Zawczasu tego wieczora stawił się marszałek i pan Krzysztof nie ruszał się krokiem z domu. Zarwaniec też czekał na nich, wysypiając się, bo powiadał, że tyle nocy bezsennych spędził, że teraz o każdej porze głowę pochyliwszy, gotów kamiennym snem się odżywiąć.

Wstał zato rzeźwy i krzepki, a gdy mu dla odwilżenia gardła nie żałowano, relację tej nieszczęśliwej wyprawy na Niż tak rozpoczął:

— Wszyscyśmy się z tej imprezy pańskiej sła nie spodziewali, a rychlej obawiali jej, choć nie można powiedzieć, aby ona całkiem na los szczęścia przedsięwzięta była. Słał pan nasz do kozactwa z listy i podarkami nie jeden, ale wiele razy; a odpowiedzi mu przynoszono zachęcające i zapraszające, że hetmana podezas nie mieli Kozacy, i że możnego a mężnego pana, byle im poprzyśnięły, chętnieby na czoło postawili. A no, że przez posły wilk nie tyje, po raz trzeci nie było już co slać, było trzeba samemu jechać.

Jakeśmy się wybrali, panowie najlepiej wiecie. We sto przeszło koni, z których siedemdziesiąt szlachty, ruszyliśmy się w najlepszy czas do Kaniowa. Tej części podróży niema co opisywać, gdyż pospolitym try-

bem się odbyła, krom tego, że ze szlachty niektórzy, języka dostawszy, ulękli się i nocami nam pierzchnęli, a na ich miejsce innych trudno było w tych krajach dostać. Przodem zaś wyprawiony był nasz Zuzula, zdawna panu służący Rusin, który już raz na Niż jeździł i z Kozakami się znał, tak, że gdyśmy do miasteczka tego, dosyć opustoszonego, przybyli, w którym jedna stara bardzo, murowana cerkiew czyni je do miasta podobnym, jużeśmy tu Zuzulę z powrotem i posły kozackie zastali.

Niech mi to Pan Bóg odpuści, gdy powiem, że owo kozactwo, które jako dzikie i proste chłopstwo ciągle opowiadano,calem inaczej znalazły, niż się spodziewałem. Albom ja źle widział, albo drudzy się mylili. Prości wprawdzie ludzie i obyczaju grubego, to prawda, ale chytrości takiej w poklonach i obejściu się, że oglądzonemu naszemu człowiekowi trudno im sprostać. A tak się umieją szczerymi, otworzystymi czynię, tak dobrymi się okazują, iż człowiek wcale się na bacznosci od nich nie ma, za co potem przyplaca, cośmy sto-kroć doświadczyli.

Więc i ci pierwsi, których zastaliśmy w Kaniowie z Zuzulą, tak do kolan przypadali naszemu panu, a tak się radowali mu i zapraszali, żeśmy sądzili, jakoby na gody i do gotowego ruszamy.

Pan Samuel wielce ochotny był, więc hojny, wesoł i to tylko powtarzał:

— Niechże baczą ci, co mi tu niefortunę przepowiadali.

Tu z tymi posły zdawało się, że się cała rzeez ubijała i skończyła. Opowiadali Kozacy, że ich pograniczny starosta dla króla chciał pozyskać i wielkie rzeczy obiecywał, ale oni się wilczych zębów obawiali, o których już wiedzieli, że gdy się na kim zawrą, to go nie puszczać i woleli mieć nad sobą Zborowskiego, któryby ich swobody nie ukrócił.

Więc pił pan Samuel nazabój, pili i oni, a sadzał posły podle siebie do stołu, a podarkami ich obsypywał. Ci zaś w imieniu swych sotni i gromad przysię-

gali. Rzecz zdawała się skończona. Przyczem pilno do siebie jegomości zapraszali, aby co najrychlej przybywać raczył. Opatrzywszy ich jak najlepiej, odprawiono stąd przodem, a myśmy w najlepszej myśli ciągnęli do Czerkas.

A no tu powiedzieć muszę, o czem z nas nikt nie wiedział, aż dopókiśmy nie stanęli w Czerkasach, że oprócz tego, iż z kozactwem się zmawiał, pan nasz miał i drugą imprezę napiętą tak, aby ta tamtą zasłaniała. Okazało się, że ze starostą pogranicznym, którego imienia wyznać nie chciał, zmowę też miał, że ten na niego podle Czerkas w kilkaset ludzi czekać się obiecał, aby razem szli na Putywl, zamek moskiewski!

Krzysztof wybuchał podziwieniem wielkiem.

— Gdybym ciebie nie znał, że tego z palca wyciąść nie mogłeś, nie wierzyłbym ci. Do kozactwa jechał, aby je królowi odciągnąć, a ze starostą królewskim w pomoc przeciwko Moskwie razem się wybrał. Jakże to tu pogodzić.

— Góździe, jako chcecie, — odparł Zarwaniec — ja też niespełna rozumiem, to tyle pewna, że starosty owego i wojska jego i obietnic aniemy śladu, ni znaku, ni o nim wieści nie znaleźliśmy. Tak tedy nad rzeką Pskłą postawszy i spoczawszy, gdyśmy nadaremnie czekali, Kozacy naglili, aby do nich jechał, ciągnęliśmy nad rzekę Samarę, gdzieśmy po raz pierwszy około dwóchset kozaków spotkali, od których czolobitnością wielką byliśmy przyjęci, co nam nadal wielkiej dodało otuchy, chociaż kozactwo to nie było rycerskiem i prawdziwem, ale ci, co ich wodnymi Kozaki zowią, którzy ustawicznie ryby łowią, na rozmaitego zwierza po ostrowach dla skór polują i wszelkiem gospodarstwem, a potrosze i handlem się zajmują.

Obyczaj i tu zastaliśmy prosty, ale dostatek znaczący. U niektórych Kozaków, powiadają, w kublach od mazi i dziegiu czerwone złote i talary się chowają. Oni sami dla siebie nie potrzebują wiele, bo życie pro-

wadzą chłopskie, ale skarby te na powszechny użytk obracają i na to swe rycerstwo, które ich bronie i osłania.

Tu więc, kiedy na ryby łakomy był, mógł się najść dosyta, gdyż najpiękniejsze po niczemu, a obfitość po jeziorach ich taka, że czasem dla ciasnoty zdychają i zarażają powietrze. Nie zbywa też na zwierzu wszelakim, który głównie dla skór Kozacy łowią i biją.

Dotąd jeszcze wszystko nam szło, jak z płatka; kłaniali się i pokłony bili, choć czasem człek wejrzenie z podelba spotkawszy, aż mrowie czuł, że mu przeszło, ale milczeli i jeszcze się akomodowali. Nic zmiennego nie było, a pan nasz coraz animuszu większego nabywał i z tych, co mu niedowierzali, śmiały się.

Od rybnych Kozaków do rycerskich, na wyspę, na której niby stołeczny ich gródek miał być, inaczej, jak przez rzekę przeprawiając, dostać się nie było można. Na czółnach nie zbywało, ale rzeka osobliwa i niedostępna w tych miejscowościach, którą potrzeba znać, aby ją bezpiecznie przebyć. Wznoszą się bowiem na znacznej przestrzeni jej skały, jedne większe, drugie mniejsze, niektóre ponad wodą, inne nieco nią osłonięte, a tak całe koryto przecinające, że nieznamy człek ani wpław, ani czólnem nie przepłynie tych progów, których tam niemal jest. Każdy z nich ma nazwisko i różni się jeden od drugiego, wszystkie przecie zawadą są dla żeglujących. Dodawszy po brzegach niezmiernie wysoko wyrosłe trzciny, niby lasy, a moc ptactwa wodnego, możecie sobie wystawić, jak ten kraj wygląda. Twierdz Kozacy nie potrzebują i wiedzą o tem. Łatwiej się tu obronić, niż wyśledzić i schwytać.

Prowadzili nas tedy między dwa te progi na uroczysko, które oni Jawołżanem zowią, dla przeprawy, a myśmy jeszcze i ich przysięgami uspokojeni, tak bezpieczni szli, jakbyśmy doma byli. Tu tedy pierwszy wypadł znak, iż z kozactwem daleko było do końca.

Zobaczywszy hajduków zbrojnych kupę niemałą, nasz orszak znaczny, kozactwo, które się tu już zbiegło w kilkaset ludzi, zdala się trzymać i zaraśmy postrzegli, że się nieprzyjaźnie mają. Była chwila jakby się napaść i bitwę stoczyć gotowali; posłano Zuzule dla rozmowy i porozumienia i rzecz się wyjaśniła.

Nieświadomi tego, co starszyzna ich z panem Samuelem mówiła, Kozacy wzięli nasz zbrojny oddział za królewskie wojsko, które ich do posłuszeństwa i posługi chce zmusić... a że oni tam swą swobodę nad wszystko sobie cenią, gotowi byli stać w jej obronie.

Ledwie się udało dwu z nich na rozmowę ściągnąć. Tym pan Samuel rzekł zprosta, że nie jest żadnym królewskim sługą, ale go ich własna starszyzna wezwała i wybrała, że na jej żądanie przybywa, i nie ma innego zamiaru, tylko być im ojcem i towarzyszem, a obrońcą.

Czyśmy ich przekonali, czy uwierzyli nam, czy nie, ale zmiarkowali też, iż z tą garścią sami się oddając w ich ręce, niebezpieczni być nie możemy. Jakoś się tedy udobruchali, a p. Samuel, po rusińsku do nich gorącym słowem przemówiwszy, jak to on umie, częstując i obdarzając, jakoś niechętnych rozbroił, ale to nam mogło już pokazać, że do końca było daleko, a kozactwo weale tak łatwotworzem i do pozyskania lekkiem nie było, jak się nam w Kaniowie zdalo.

Po rozhоворach tedy zgodzili się nam dać osiemdziesiąt ludzi dla przeprawy przez progi, bez których my jak w matni-byśmy tu zostali.

Ciągnęliśmy tedy stąd ku miejscu, na przeprawę oznaczonemu, pomijając zameczek Chortycę, który tam był niegdyś kniaź Wiśniowiecki postawił.

Tu, gdy o zamkach mowa będzie, aby sobie ichmoście nie wyobrażali, iż to murowane i mocne grodu są, dodać muszę, iż wszystko tam z drzewa, z gliny, z ziemi, a rzadko co z kamienia. Przeciwko Tatrom, którzy tam zabiegają, bośmy sami ich straże widzieli, i lada wał starezy.

Tu już i z Kozaki. i od tych Tatarów niemal trudności poczeliśmy widzieć i czuć przed sobą. Ci, którzy sobie wyobrażali, że do gotowego idziemy, a niebezpieczeństw żadnych nie zaznamy, znacznie poszkapieli, tak, że nam ze szlachty nocami po kilku uchodzić zaczęło. Na to rady innej jak pilność nie było, a pan Samuel zapowiedział głośno, że kto się z nim iść ofiarował, musi dotrwać do końca, a gdyby uchodzić chciał i pochwycony został, jako zbiega kula w leb nie minie, co trochę szlachtę pohamowało.

W Chortycy noclegował pan Samuel, a choć postu nie było, i on i ludzie przez cały ten czas jeno rybami żyć musieli, bo tych wszędzie było poddostatkiem — szczuka łokciowa nie żadną osobliwością, mięsa zaś nie można było dostać. Więc kucharz pański, Michał, biadał i radował się razem, różnie je przyprawując. Chleb też podpłomykami przyszło zastępować.

Szło tedy dalej napozór wszystko po myśli, bo nam już blisko obiecywali owo hetmaństwo, buławę i obwołanie pana naszego, a zdanie mu władzy nad sobą. Myśmy w to wierzyli święcie, a i pan Samuel wszystko, co obiecywali, za dobre przyjmował, choć się później okazało, że nas w pole wywiedli.

Dlaczego? Bogu wiadomo. Albo się podarków więcej z nas wyzyskać spodziewali, albo mieli jakieś rachuby swoje, dosyć, że tam szczerości za grosz nie było, choć my wierzyliśmy imcale.

Już tedy ino sam obrzęd do dopełnienia zostawał, jako mu buławę pierzastą zdawać mieli, a to na ostrowie Tomaszowskim, kiedy nas ciągnęli, dokonać się miało.

Jest ostrów ten, czyli Insuła, pośrodku szeroko rozlanej rzeki położony, dosyć spory, cały niemal gęsto lasem i krzakami porosły, a w pośrodku się podnoszący okrągłe, tak że czasu wiosny, gdy woda prawie wszystkie te ostrowy pokrywa, na Tomaszowskim zaś cośkolwiek suchego lądu pozostaje. Nieprzyjacielowi się tu niełacno dostać można, bo na czólnach dla

skał tylko tamtejsi, co je znają, pokierować się mogą, a obcych siła poginęło, próżno się tu dostać pragnąc.

Przybywszy na miejsce, zastaliśmy już kozactwo wpogotowiu na przyjęcie nasze, świątecznie poubiebrane i uzbrojone, ze starszyzną na czele. Panie Boże odpuść, mnie się to zaraz w początku wydało, jakbyśmy mięsopustną komedję grali, a na to wyszło, iż nieszczerze z nami postępowali. Pan Samuel się im z kozacka też przystroił, ale w złotogłów i jak na hetmana przystało.

Ze strony tego chłopstwa wystąpił orator z tymi, którzy ową buławę na poduszce szkarłatnej nieśli, z poszanowaniem wielkim, choć kawał to kija był, mało co srebrną blaszkę okuty i piórami kilku nastrępciony.

Orator tedy submisję czynił w imieniu gromady bardzo gładką, a wiele obiecującą i zamknął ją tem, że „my siebie z wiernimi chęciami naszemi i posłużeniem wszelakiem zaraz się przy tej buławie oddawamy, życząc ci tego, abyś nam długo rozkazował, skądbyś sobie, nam i ojczyźnie milej i potomstwu swemu nieśmiertelną sławę otrzymał”.

Na co pan Samuel słowem bardzo gorącem, a serdecznem odpowiadał im, poręczając, iż oną buławę przyjmuje jeno z tą nadzieję, że nią rycerskiemu narodowi do zwycięstw i chwały będzie przewodził.

Poczem między Kozakami, do nas wybranymi, a nami komitywa się napozór jak najlepsza przy kubkach zawiązała, że się ściskano i całowano. Ale już przy tej biesiadzie, tu i ówdzie prysnęło przeciwko Lachom coś, co nam uszy niemile drasęło, bo sami się Lachami czując, nie mogliśmy tego słuchać bez ucisku, jako wszyscy na onych panów polskich, co na kresach mieli ziemię i majątkości, bardzo narzekali i nieprzyjacielsko się względem nich odgrążali, już nas za swoich uważając, albowi też próbując.

I pan Samuel też, choć przeciwko szlachcie i panom urazę miał niejedną i ujmować się za panów

braci nie myślał, zasępił się, widząc, że tu co tylko Lachem trąciło, śmierdziało im.

Więc trzeba było i nam chyba skórę zmienić, aby się z tym narodem zbratać. A gdyśmy się w onej gromadzie kozactwa rozpatrzyli bliżej, okazało się, że choć większa może ich część rodzonymi Kozakami była i na tej ziemi wyrosła, dużo też takich, co z Polski od nas, z Wołoszy i innych ziem salwowały się, gardła chroniąc, a tu już przystając do kozactwa, których obyczaj i język przejęli. Więc niejeden z tych, co na głos po rusińsku wywoływał i śpiewał, a i włosy miał na sposób ich wygolone, gdy się z nami znalazł sam na uboczu, a wiedział, że go nie podpatrzają i nie podsłuchają, nagle do nas z mazurska poczynał i ściskał, i łzy mu z oczów ciekły, a o Polskę pytał, jakby mu matką była. Takieśmy tu znaleźli niemało ze zdumieniem naszem, ale ci właśnie od nas stronili, tylko gdy sobie podchmielili, z tem się wydawali, jaka w nich krew płynęła.

Mnie tedy zaraz drugiego dnia nadarzył się niejakiego Prochor, którego ja za prawego Kozaka wziąłem, a fizys mi jego przypadła do smaku. Stronił on ode mnie z początku, dopóki się nie ośmielił, aż gdyśmy sobie razem podpili, odprowadziwszy mnie na stronę, dopiero po polsku zagadał. I przyznał mi się, że pruskim szlachcicem był, choć nazwiska wyjawić nie chciał, który dla zabójstwa ojczyma zbiec musiał na Niż.

Tak jakoś do mnie przystał, że drugiego dnia byliśmy z sobą, jakbyśmy od dzieciństwa się znali.

Ten tedy mnie zakławszy, iż go nie wydam i nie okażę w żadnym razie, rzekł:

— Miejcie się na bacznosci. Buławę panu Samułowi dano, ale z kozactwem ostrożnym być trzeba, bo oni się niełatwko komu zdadzą i zwierzą, a na pana Zborowskiego oko mają. Prawda, że się im z miną i odwagi swej podobał, ale zawsze on dla nich Lach, a co Lach — to wróg. Kłaniają mu się do czasu, a przy

lada nieporozumieniu waszą garść, gdy nieopatrzna
będzie, mogą wydusić, a nikt ich o rachunek nie spyta.

Na pierwszy tedy męstwa popis pan Samuel so-
bie ten Putywl moskiewski wybrał, o którym słyszał,
że łacno go zajść i zdobyć było... ale Kozacy sami
z nim ochoty wielkiej iść nie mieli i ociągali się, a ów
starosta, który razem z nami obiecywał się iść, nie
dawał o sobie wiadomości i odszukać go nawet nie
mogliśmy. Więc się tu z jego strony albo zdrada, lub
lekkomyslność okazywała.

Tymczasem, gdyśmy stali, nadaremno wyczekując
na to, co przyjść nie miało, Kozacy, jak ten Prochor
przepowiedział, niedowierzający ze wszech stron, po
trzeźwemu i pijanemu zachodzili, badając, co pan Sa-
muel myślał dalej, gdyby z Putywla dał Pan Bóg szczę-
śliwie powrócić.

A tu dodać muszę, o czem albo panom, jako braci,
wiadomość dał p. Samuel, albo dla krótkości czasu,
zaniedbał może, iż podczas gdy się z Kozakami ukła-
dał przez posły, zarówno też do chana perekopskiego
słał z listy i od niego miał odpisy i przyczeczenia wiel-
kie sojuszu i przyjaźni przeciwko Wołochom i wspól-
nego iścia... a jako to rozumne było i polityczne, tego
ja zachwalać nie potrzebuję. Tylko, że Tatarzynowi,
równie jako Kozakom, zbyt łacno wiarę dawał, sąż-
dząc sobie, iż naród to zbyt prosty, gruby i do wszel-
kiego przebieranego w maszkary niezdolny, choć jak
jedni, tak drudzy, gorzej Wołochów umieli komedję
grać i w pole wyprowadzić. Czegośmy, dopiero na
własnej poczęści skórze doświadczywszy, nauczyli
się nierychło.

Kozakom tedy owe konszachty z chanem nie były
wstrętne, i owszem nalegali, aby zaraz posły wypra-
wiać, dopominając się dotrzymania słowa i pułku na
pomoc, a nawet ofiarowali jeńca tatarskiego murzę,
którego byli pochwycili, posłom zdać, aby tą ofiarą
chana skłonić do powolności.

Zaraz tedy wybrał pan Samuel ludzi, do których
się i Bielecki, co z nami był, niegdyś komornik króla

Stefana, przyłączył. Rozumie się, iż z gołymi rękami poselstwo nie mogło być odprawione, ale pan Samuel, co tylko miał naówczas, do ostatniej bodaj koszuli gotów był poświęcić dla swej imprezy, o której wiele tuszył.

Naprzód o to szło, aby z Tatary umowę uczynić twardą i od wszelkiej zawarować się zdrady. Cheiał pan Samuel sam to czynić, na nikogo się nie zdając, i żądał wyznaczenia miejsca, gdzieby ze starszyzną tatarską w dziesięciu koni mógł się zjechać i tam obradować, a układać. Z tem posły jechali, a Bielickiego omal tam nie zatrzymali, dowiedziawszy się, że królewskim sługą był, ale Kozacy im to odradzili i cało uszedł nazad.

Stał się, jak pan Samuel żądał, iż uroczysko, ich językiem Karaithebe, czyli Czarne wody, wskazali, aby tam zjazd się odbył.

Pan Samuel wiele uradowany, a do zbytku już szczęściu swemu ufający, nie wątpił, że mu wszystko i nadal popłynie tak gładko.

Suplikowałem go. Prochorowe mając na pamięci przestrogi, aby spełnia ani Kozakom, ani Tatarom wiary nie dawał i zawsze się oglądał, jakby w złym razie wycosać się mógł bez szwanku. Alem zato śmiech tylko i łajanie odnióst w zysku za oną moją babską podejrzliwość i nieufność, gdy tu wszystko się po myśli i szczerze działało. I milczeć musiałem.

Szliśmy tedy na ono uroczysko, kiedy i tatarskie posły w słowie się stawili, a co dziwniej, z upominkami i z listy chana. Przyprowadzili z sobą koni pięknych i czysto przybranych dwanaście, między którymi cudne były, przytem szat złotogłowych, jakich dla posłów i w Moskwie zażywają, trzy. Z tych jedną, najprzedniejszą, zaraz na siebie wdziać musiał, aby dar chana uczcić.

Mieli i tłumacza z sobą, który ich belkotanie niezrozumiałe po rusińsku nam wykładał. Witał go chan sercem niby wielkim, szczególnie z tego się ciesząc, że kozacką swawolę i zuchwałstwo pohamuje, a ład

zaprowadzi. I tak serdecznie się względem pana naszego oświadczał, że go jako syna swego był gotów w opiekę wziąć i we wszystkiem mu pomagać, byle spokojnie nad Dnieprem stał i czekał, aż razem pójść będą mogli. Przyczem obiecany pulk potwierdził, nie-długo mając go słać.

Nie mnie sądzić, jak tam sobie pan Samuel poczytał i czy nie pobłędził, zawsze do zbytku ufając. Więc, gdy na chorągiew ową czekać mu kazano, a on się niecierpliwiał, aby czas darmo nie upływał i Kozacy na rozmysły nie brali — domagał się tylko od chana, aby mu dla przewodu hetmana swego dał przeciw Moskwie, która litewskie kraje wycieczkami trapiła.

Gdy o tem posłyszał, miałem odwagę sam na sam spytać pana, dlaczego królowi Stefanowi chce przeciwko Moskwie pomagać, gdy król przeciw nam takim wrogiem? Na co mi tylko tyle rzekł:

— Pilnuj swego nosa; wiem co i dlaczego czynię.
Tedy zamilkł.

Umowa ciągle szła dalej przez posły o hetmana, o wyprawę, i już się nam zdawało, że jako żywo, lada dzień z tego „kosza“, jak go Kozacy zowią, wyruszymy na Moskwę.

Ale przeznaczonem było, że tu wielkie owe nadzieje i ufność pana Samuela zawiedzione zostaną.

V.

Staliśmy na tem ostrowiu, wczasu zażywając wspólnie z Kozaki, których obyczaje i tryb życia poznawaliśmy. Siłaby o tem mówić, a wiele rzeczy nie do wiaryby się zdało; jako to naród jest razem swobodę swą milczący, a karność tak srogo rozumiejący, że wspomnieć strach, bo u nich nieposłusznego na pal wbić, gdy gromada winnym go okrzyknie, niczem jest!

Własności też w koszu osobnej nikt z nich niema, jako u nas w klasztorze, ale skarb wspólny i stół

wspólny, i śpichrze, z których każdy bierze, co mu potrzeba; ale też do nich wszelki łup wojenny oddawać muszą. A że ludzie prości są, więc im niewiele potrzeba; w kotłach jedzenie na każdy dzień kucharz ich warzy, zwolują się do niego, piją i jedzą gromadą.

Kobiet tam nie widać wcale, tylko rybni owi, poza koszem Kozacy mieć je mogą, inni zaś jako mnichy tu żyją, choć o czystość nie dbają wcale i czasu wojny wszelkiego gwałtu pozwalają sobie; ale mają tę wiarę, że gdyby jedna niewiasta pomiędzy nich weszła, z nią razem waśń i niepokój, i rozterki rycerskiego duchaby im odjęły. W czem, że są rozumni, zaprzeczyć trudno.

Rzekłem, żeśmy tu weczasu zażywali, boć robić nie było co, krom, że się dla rozrywki na płactwo wodne lub na ryby z sakiem szlo, ale ze strawą musieliszy ich grubemu obyczajowi być posluszní i z kotła razem z nimi się żywić. W czem pan hetman przykład dawał, ale łacno mu to przychodziło, bo Michał pokryjomu zawsze dla niego albo szczukę po żydowsku, lub kawał mięsa przypiekł i podsunął.

Myślimy zaś kaszą ich i polewkami, a ziemlem różinem, mięsem solonem a słoniną kontentować się musiel. Siła piliśmy przytem, ale też lada co, kwas tam i ich napoje nieosobliwe.

Wtem, gdy my tu lada godzina czekamy hetmana od chana, aby z nami szedł na Moskwę, przychodzi zamiast niego poseł, iż się rzecz inaczej obróciła, albowiem wielki sultan turecki do Persji się wybierał, a z nim ów tatarski chan jechać był przerzekł i musiał. Zaczem pana naszego wzywał, aby z nim też do Persji się wybierał.

Wielce się pan Samuel tym posłem zafrasował i omal nie w pasję wpadł, nie wiedząc, co czynić... a jako naturą jego zawsze jest i było, że długo czekać i trwać nie umie, a w ogień się rzucić gotów, gdy mu krew zakipi, tedy mocnom go widział myślami utrapionym i niepewnym.

Posła tatarskiego zrazu odpuścił tak, jak z niczem, aliski nocą się inaczej rozmyśliwszy, wysłał za nim pogoń i kazał go nazad strwożonego do siebie przywieść.

Uszom moim wierzyć nie chciałem, gdy posłowi rzekł, iż gotów jest chanowi do Persji towarzyszyć, byle mu poprzysiągł, iż za żywot jego i bezpieczeństwo ręczy wszędzie, aby go gdzie nie struto, lub nie zabito, jak to u Turków łacno przychodzi. Żądał, aby z tą przysięgą chan mu przysłał mustalika swego i przedniejszych murzów kilku, którzyby imieniem jego uroczyście to wedle obrzędu ich zaprzysięgli (przy czem oni wodę leją).

Dał posłom na to tydzień czasu i miejsce dla przysięgi wyznaczone zostało, z czego widzieliśmy posły uradowane wielce.

Pan Samuel też animuszu sobie dodając, dobrej myśli był, z tej Persji i dalekiej podróży u boku sułtana tureckiego wiele sobie obiecując, czemuśmy się dziwowali, a on naszą prostotę wyśmiewał.

W tem miejscu opowiadania, gdy Zarwaniec nieco spoczął, chcąc sobie gardło odwilżyć, rzekł pan Krzychnik do brata:

— Zawsze ten sam Samuel, jako był! Zawsze mu się najszałeńska impreza uśmiecha, choć w niej gardło waży, bez żadnej dla siebie korzyści. Więc tu ledwie Kozaki sobie mało co ujawszy, już chana perekopskiego i sultana tureckiego chciał w sak złowić... na pogańską ich przysięgę, która worka sieczki nie warta, życie ważąc...

— My też, słudzy jego, nie co innego myśleliśmy — rzekł Zarwaniec, wąsy ocierając — ale odezwać się z tem żaden nie śmiał, boby i po łbie mógł oberwać.

A widzieliśmy pana naszego po odprawieniu posłów z tą odpowiedzią tak dobrej myśli i ochoczenia, jakby cudu dokazał. A no, sam jeden ruszyć nie chciał i nie mógł, potrzebował ku temu wojska kozackiego, a nas też wszystkich brał z sobą, jako się

samo z siebie rozumieć ma. O czem dotąd ani Koza-
cy, ani my nie byliśmy zawiadomieni.

Kozacka siła największa była na drugim ostrowie, który się zowie Czertomelik, a jest całe rozległy i ota-
czają go dokola niewielkie mniejsze, różnej wielkości
wysepki, jedne suche i skaliste, drugie gnisie i w mo-
czarach a trzeinach całe, między którymi, aby czól-
nem trafić, Kozakiem trzeba być, gdyż dla owych
trzein światu nie widać. Na wiosnę wszystkie one
ostrowy bywają załane, tak, że tylko większym co-
kolwiek czuba widać.

Stał im za twierdzą najlepszą ten labirynt, nieprzy-
stępny dla tych, co się tu nie rodzili, lub życia nie
strawili.

W małej gromadce płynął więc pan nasz na ten
Czertomelik do starszych i do ludu swojego, jak przy-
stało hetmanowi, ufając władzy swej, że rozkazania
jego usłuchać muszą. Od czegóż dzierżył buławę!

Tu, gdyśmy, na ląd wysiedli, zaraz się kozactwo
obwołało i dokola zebralo na posłuchanie słowa pań-
skiego.

I czynił do nich rzecz swą pan nasz bardzo gład-
ko i foremnie, przedstawiając z tego korzyści, gdyby
ujął sobie sultana i chana. Już podczas, gdy mówił,
można było dostrzec, jak się lica Kozakom mieniły
i marszczyły, a niektórzy nie czekając aby dokończył,
zaczynali w głos przeciw niemu krzyczeć, że ich na
zgubę chce prowadzić.

Co się potem stało, jak zawrzało, zakipiało, jak się
on naród podzielił, z którego przy nas i naszym pa-
nu mało co pozostało, tego i ja opowiedzieć nie po-
trafię, bom Panu Bogu ducha polecał, sądząc, że oto
nam tam wszystkim ostatnia wybiła godzina.

Kupka nas niewielka stała przeciwko wzburzonej
gromadzie, a z kozactwa, choć niektórzy z początku
przy panu pozostali, gotowość do posłuszeństwa oka-
zywali, coraz się ich liczba pomniejszała, tak że ono
było patrzeć, a ot sami będącmy na to zburzone po-
spółstwo!

I owo poszanowanie, okazywane panu, jako hetmanowi, naraz się w zuchwałstwo zmieniło takie, iż nam z pięściami pod nos przychodzili się odgrażać, a niektórzy doraźnym sądem, jako zdrajcę, hetmana chcieli już brać, i wedle obyczaju swojego, suknię, jak wór, szc澤nie opasawszy, piasku w nią dla ciężaru nadziać i z tem w rzekę rzucić...

Najedliśmy się strachu niemało, bo co pana czekało, to i sługi.

Ale pana onego trzeba było podczas widzieć! Pięknym był, iżem go w życiu nie widział wspanialszym. Strachu najmniejszego nie okazał, ale majestat i potęgę jakąś taką straszną, iż ono chłopstwo w oczy mu spojrzeć nie śmiało. W bok się ujął, a usta mu drgały uśmiechem. Patrzałem na to, gdy Bielecki zbliżył się do niego i szepnął:

— A co teraz! szabli dobywszy, do czólen się przebojem wyrabywać!

— Milcz! — odparł pan Samuel. — Moja godzina jeszcze nie wybiła, ja tu szabli nie dobijając, radę sobie dam.

Tedy patrzym, a gdzie nieopodal najszalesza stała gromada kozactwa, co nam pięściami ciągle się odgrążali, on sam jeden, krokiem mierzonym i poważnym wprost szedł na nich.

Patrzyłem się na to, jak widząc go tak spokojnie ku sobie idącego, powoli się uciszali, aż gdy o kroków parę przystał, z tej wrzawy ciszaastała, jakby maskał.

Począł tedy do nich mówić wielce łagodnie i dobrośliwie ich hamując, ale z taką siłą jakąś, że im jakby zawiązał gęby. Jeden i drugi poczęli się po łbach skrobać, po sobie spoglądać, łokciami się trącać, mrugać i burza naraz ustawała.

Śmielszy się jeden odezwał, odpowiadając panu, ale pan Samuel, wysłuchawszy go, znowu mówić począł.

Gromada tedy powoli, jako chmura groźna, rozpływać się poczęła, rozlazić, i przy panu wkońcu tylko

kilku spokojniejszych pozostało, którym zlecił, aby wzburzone umysły starali się uspokoić, a wszystko pojedzie dobrze.

Aniśmy się dla tego strachu, jak Bielecki chciał, zaraz z Czertomelika wynieśli, choć czolna wpogotowiu były. Rzekł nam pan Samuel:

— Myśleliby, że od nich uciekam, a ja nawet po sądzonym być nie chcę, abym miał obawę, której w życiu nie doznałem, bo sobie moją cześć rycerską więcej ważę, niż żywot marny.

Kazał tedy rozbić namiocik, który zawsze przy sobie miewał, i na nocleg się tu gotować.

Nazajutrz dodnia burza się zerwała znowu, ale mniejsza od wezorajszej, której pan Samuel dał przeciągać bokami, sam się nie nastręczając, czekając cierpliwie, ażby oni do niego przyszli.

Przez ten zaś czas, jak się okazywał wesolym i bezpiecznym, ledwo kto uwierzy, co go tam widział. Bo że tu życie nasze wisiało na włosku, niema wątpliwości i od Prochoram to później miał, że jego i nas wszystkich topić chcieli, a na Lachów zdrajców okrutnie wymyślali — ale ku niemu się nikt nie ważył.

Znalem ci ja go mężnym i zuchwałym od dzieciństwa, — mówił dalej Zarwaniec — ale takim, jak się tu nam okazał, nie widziałem go nigdy. Jasne miał oblicze i uśmiechające się usta, a postawę przedziwnie pańską i swobodną, jakby wśród senatorów na radzie w zamku zasiadał. Chłopstwo też ono wzrokiem razil, że mu w oczy spojrzeć nie śmiało.

A było tego nie dzień jeden, ani dwa, ale niedzielę całą z nimi musieliśmy przeżyć, spierając się, mitygując i poskramiając.

Koniec końcem starszego wezwał do siebie, przy czem byłem, i rzekł mu:

— Swobody waszej ja ukrócać nie myślę. Zechce ze mną który iść, wdzięcznie przyjmę. Kto się oprze, gwałtu mu nie zadam, może pozostać. Zatem straż aby była wyprawiona na uroczysko, kiedy mustalik z murzami dla przysięgi zmówiony.

Na tem stanęło i spokój był przywrócony.

A no co się dalej przygodziło, w tem już wola Boska była i osobliwe Opatrzności zrządzenie. Na ono miejsce mustalikowi wyznaczone, na czas zmówiony, mimo chęci, pan Samuel przybyć nie mógł, bo w tym labiryncie wysp i wysepek my z naszymi wioślarzami, choć cokolwiek obeznani byliśmy z miejscowością, skorośmy się zabłąkali. Stąd czasu zwłoka.

Pan Samuel, podążyć nie mogąc, posłał Kozaków, mustalika prosząc, ażeby cokolwiek się przymknął bliżej. Poganiń zaś, jako sam w sercu zdradę miał, tak się jej snać od nas obawiał i sam ruszyć z umówionego miejsca nie chciał, kilkuset tylko murzów wyprawiwszy po hetmana.

Ci opowiadali, że mustalik z wielką weale okazałością w tysiąc koni, z wielkim orszakiem, z darami bogatemi, z wozami, z wielbladami, z namiotami, z jezdnymi i pieszymi, oczekiwali na hetmana.

Murzowie, przybywszy z pokorą i czolobitnością, poczęli modlić a prosić, po nogach niemal całując go, aby do mustalika jechał, który go niecierpliwie z wdzięcznym sercem oczekuje.

Postanowione tedy już było, żeśmy ruszyć mieli, ale wojska niżowego bez przykazów i bez naznaczenia im starszych, a bez zastrzeżenia, aby się ono spokojnie zachowywało, nie mógł pan Samuel pozostawić. Trzeba było na to trzy dni, aby po starszyznę posłać i z nią się rozmówić.

Rzekł tedy murzom:

— Postójcie mało, sami to rozumiecie, że wszystkiego kozactwa z sobą do Persji nie biore, trzeba więc pozostaemu przykazać srogo, aby ordzie pokój dała.

Tu, gdy dalej miał ciągnąć, muskając wąsa Zarwaniec, dodał, spojrzawszy na braci, którzy go z ciekawością wielką słuchali.

— Co powiem teraz, będzie się może ich miłościom trochę dziwnem wydawało, a niecale do prawdy podobniem, ale rychło ujrzycie pana Samuela, który słowa moje potwierdzi.

— Mów, cóż tedy tak nie do wiary być może, gdy o Samku idzie! — rozśmiał się Krzychnik.

— Poczęła się z murzami sprawa zaprawdę dziwna, — ciągnął dalej Zarwaniec — bo nadzwyczaj gorąco i napastliwie nalegali, aby z nimi koniecznie, i to nie zwlekając jechał, a z drugiej strony kozacka starszyna, na bok wziawszy hetmana, objawiła mu, że oni Tatarom tym i chanowi ich i mustalikowicale nie wierzą, a zdradę w tem wietrzą, iż inaczej nie jest, tylko sprawa napięta, aby jego ludzi i Kozaków w nie wolę wziąć i zgubić.

Zaklinali go więc, aby, uchowaj Boże, nie jechał.

Zdało się zaś panu Samuelowi, że Kozacy zrazu wypowie tej byli przeciwni, i dlatego strachy na Lachy wymyślają, albowiem takiej jawnej zdrady nie mógł nigdy przypuścić.

Więc z jednej strony murzowie wołają:

— Zmiłuj się, jedź, tam na ciebie jednego, jak na syna rodzonego, sułtan czeka, sto tysięcy ludzi stoi, trwać dłużej nie może, bo i trawę i paszę wszelką wyjadli i czas mieli obrachowany.

Więc na trzy dni pozwolić nie chcieli, ale wołali:

— Jedź zaraz, jedź...

Do kolan przypadali ciągle, a złote góry obiecywali. Co tu czynić? Kozacy ręce łamią i proszą:

— Jeżeli wam życie i zdrowie mile, sami się dobrą wolą w ręce pogonów nie oddawajcie. Zguba jawną. Dosyć w ich kose oczy popatrzeć — jak się sobie uśmiechają, radzi, że zdradę knują.

Drudzy zaś powiadali, iż niektórzy Kozacy w nie woli u Tatarów bywali, a język ich rozumieli, pochwytowali takie wyrazy, jakby na zdradę wszystko wymierzone i obrachowane było.

Myśmy panu Samuelowi w oczy patrząc, widzieli, że choć się maluczko wahał, ale serca sobie dodawał i miał postanowienie jechać.

Tedy murzowie ani nawet do wieczora nie chcieli czekać, a zaraz na koń. Przeszedł się po placu między nami zadumany pan, i nagle krzyknął:

— **Dawaj konia!**

Murzowie się z pośpiechem rzucili i zaraz w mgnieniu oka rumaka mu okulbaezonego, gotowego, tylko siadaj, przyprowadzili. Zdalo się tedy, że tak Bóg chciał i sądził.

Był koń, jakbym na niego jeszeze patrzył, pleśniawy, zbudowany krzepko, z okiem wysadzonem na leb, z chrapami czerwonemi, niecierpliwy, że w miejscu ustać nie mógł, a kopał nogami i ogonem ze złością zwijał. Tedy pan Samuel, choć wasza miłość wiecie, jak na koniu jeździ i że mu najdzikszy nie straszny, spojrzawszy na tego, rzekł:

— A stępią on chadza?

Murza, który przy nim stał, odparł:

— Bystry jest.

Rzucili się zaraz innego mu szukać, bo powiedział, że bardzo znużonym się czuje i chce sobie na siodle odpocząć.

Tymczasem on, już tylko na konia siadać: szabłą przypasana, sahajdak miał na sobie — począł się przechadzać zadumaną, oczekując. Patrzyliśmy na niego z żalem i trwogą, bo widać było, że w nim dwoje gralo jeszcze.

Michał, kucharz, koło namiotu stojący, plakał i gdy się zbliżył ku niemu, rzecze:

— Paneezku mój, już ja cię pono oglądaj nie będę, kiedy się sam na ich ręce zdajesz. Jest szczuka dobrana, poczekaniu gotowa będzie, najedz się choć na drogę.

Aż pan stanął, a że w istocie przez cały dzień czasu nie miał do gęby co włożyć, zapachniała mu szczuka i rzekł:

— **Dawajże prędko.**

I szedł do namiotu jeść, a tu mu drugiego konia już przyprowadzili. Znowu kęs się zwlekło. Miał tedy na koni siadać już, aż przy starszyźnie kozackiej, za jej namową, zażądał od murzów przysięgi na bezpieczeństwo.

Ci zaś wymówili się, iż przykazania nie mieli i rzeczyć nie było ich rzeczą.

Kozacy to usłyszawszy, już nie patrząc na nic, prawie gwałtem pochwycili pana Samuela między siebie, niosąc go na rękach do czólen i siadły do nich, z samopalów ognia dawać zaczęli.

Murzowie się tego przelekli i odbiegli trochę, ale zaraz też do czólen się wzięli i już sądząc, że go prowadzą z sobą, odbili od brzegu, przodem śpiesząc, aby o nim oznajmili.

Kozactwo zaś go puścić nie chciało, a że na pożegnanie dużo pili, wzięła się nawpół w czólnach — wpół na brzegu taka ochota wielka, że pan Samuel o wszem zabył, z uciechą na nią patrząc. Młodzież skoki takie i tańce wyprawiała przysiadane, inni na kobzach grać, inni strzelać i hukać poczęli radośnie, aż się ziemia trzęsła. Było co patrzeć na ich skoki, bo naród ten gibki jest i wylamany tak, że mu we dwoje zgiąć się, w kłębek zwinąć; głowę między nogi włożyć — niczem!

Wśród tej zabawy noc zaszła i straż kozacka powróciła od granicy tatarskiej. Ci z sobą prowadzili kilkunastu, których trudno było poznać z razu co za jedni, tak wynędziali w lachmanach się przywlekli.

Gdyśmy się zbliżyli, buchnęła z nich radość, że nam się płakać chciało, bo to byli wszyscy polscy jeńcy, zbiegli od Tatarów, którzy w tej ucieczce prawe mężczyństwo cierpieli, a tu *salus* ujrzałszy, na kolana padali, ziemię całowali, a malo nie szaleli z radości.

Dopiero starszy jeden, który głowę miał jakby trupią z wychudzenia, gdy mu pana Samuela pokazano, podniósł ręce do góry.

— Pan Bóg — zawałał — niech będzie błogosławiony, że nas tuawczasu przywiódł, abyśmy wielkiemu zapobiegli nieszczęściu. Tamci Tatarowie, pętle wiążąc, na was niecierpliwie czekają. Hetmana niewola i okup postanowione były, a z ludzi, którzy by z nim przyszli, ani jeden nie miał powrócić, ani żywy być, bo dla nich pale gotowano.

Posłyszawszy to, pan nasz, że nie mógł wątpić, iż

prawdę mu powiadali, bo za nich własna ich nędza świadczyła, rozsierdził się strasznie. Zaraz tedy do koni swych postanowił jechać, ludzi co najlepszych zebrać i za chanem ciągnąć ztyłu, aby go znienacka zarywać.

Jechaliśmy w czterdzieści głów wybranych o mil siedem, kiedy stado się pasło, ale bardzo nieszczęśliwie, bo tam od robactwa jakiegoś ludzie i koniska puchły bardzo i zdychały.

Gdyśmy do koni przybyli, okazało się po oględzinach, że i dwu zdrowych nie było.

Tedy Kozacy dla słabości koni byli jeśli mu odrażać bardzo, powiadając, że zanim osłabłe szkapy przepławi, zemdlone popadają, i nie było co z takim stworzeniem w paszczę Tatarom leźć; co naszemu panu bardzo przeciwnem było, gdyż sierdzistości swej i zemście kwoli chciał koniecznie uczynić, a gdy co postanowi, wiadomo, że go przeprzeć trudno.

Dla koni się więc przewlekło, a tymczasem znowu języka dostaliśmy od straży kresowych z przekopy, że murzów tych, którzy do pana Samuela jeździli, srodze chan pokarał, dlaczego nie zezwolili na przysięgę i na wszystko, co chciał, byleby mu go przyprowadzili.

Ci też powiadali, że gdy murzowie wrócili, zastali u chana posła perskiego, który po to przybył, aby go co rychlej naglił do ciągnienia. A z taką butą nalegali na chana, że mu grozili losem jego brata Adligeraja, który zabit był — mówiąc:

— Będziesz li zwłóczył, i ciebie to spotka!

Upierał się jeszcze chan na pana Samuela czekać, zwabić się go spodziewając, bo okupu wielkiego żądnym był, ale Pers mu ociągać się nie dał, i tak dziesięć tysięcy na straży od kozactwa zostawiwszy, ciągnąc musiał do sułtana tureckiego, a z nim do Persa.

Na samem odjezdnem, ponieważ wcale nie wiedział o tem, iż się jego zdrada wydała, przysiął jeszcze do pana Samuela posły, napominając, aby pokój zawarty z nim strzymał wiernie, za co obiecywał i dań na Ko-

zaki i chorągiew na Wołochów, jakby tylko z Persji powrócił.

Postów tych odprawiono, nie dając nic poznać, a pan Samuel, gdy się naraz ujrzał bez żadnej imprezy przed sobą, począł być wielce markotnym.

Znacie, miłość wasza, naturę jego, że zawsze coś przed sobą mieć musi, czemby się porał, a zabraknie mu, uchowaj Boże, tedy jak niedźwiedź własnej łapy ssac nie będzie, ale musi sobie wyszukać, coby mu myśl zaprzątnęło.

Widzieliśmy go przez parę dni chodzącego, jakby z krzyża zdjetego i palce gryzającego ze złości. Przyczem oberwało kilku, co mu się podczas nawinęli.

Chybila Moskwa, że na nią iść nie było można, do Persji też nie szedł, a stać na Niżu i kaszę jeść z Kozaiki nie jego rzecz była.

Na Wołochy się zaś gotował jeszcze w Złoczowie będąc i na nich z Tatarami i Kozakami iść myślał, o czem oni byli uwiadomieni.

Hospodar, choć może napaści tej niebardzo się lękał, ale mu ona zawsze wypaść musiała ze szkodą. Nakazał więc do pana Samuela w ten sposób:

— Zostaw ty mnie w pokoju, masz co lepszego do czynienia; na gródkach moskiewskich pogranicznych lepiej się oblowisz, niż u mnie, a snadniej ci z nieprzygotowanymi będzie, niż ze mną, który wiem i czekam... Więc jeśli mnie w pokoju zostawisz, dam ci pięćset koni na Moskwę.

Na taką propozycję pan Samuel do czasu żadnej nie dał odpowiedzi, ale teraz mu ona przyszła na pamięć. Bieleckiego tedy do hospodara wyprawił zaraz, dając mu cztery niedziele czasu na przysłanie posłów dla zmowy, do której gotów był przystąpić.

Otoż nam te cztery niedziele za dziesięć stały, a jak się to mówi po prostu, w gardle kością, że panu Samuelemi wszelkiej już cierpliwości i wytrwałości brakło.

Kozacy się poczeli nagwalt rwać, aby Tatarów zarywać, aby im łatwo teraz i bezkarnie przyszło, bo

chana nie było, sił nie mieli, a wioski tatarskie tuż ku granicy się przysunęły.

Śmieszno rzec, że się wieś z miejsca na miejsce przenosiła, ale u Tatarów nieinaczej jest, tylko chaty na kołach z wojków mają, a w nich wszelki sprzęt i niewiasty i dzieci.

Dokuczy im co, albo paszę wyjedzą, lub wody powyschają, zaprzegają do tych chat i ruszają, gdzie się im podoba. O Tatarach powiadają, że nawet naturę już taką mają z wiekuistego nawyknięcia, iż w jednym miejscu, a w nieruchomym domu wytrwać nie zdołają.

O tych tedy wsiach, przy których zazwyczaj i stada koni i łupy ich są i jeńców przy nich trzymają — zasłyszawszy, Kozacy rwali się na nich napadać.

Zaś panu Samuelowi nie po myśli to było, a musiał dobrze rozważyć, aby na niego nie rzucono, że nieprzyjaciela uspokojonego przeciwko Rzeczypospolitej drażnił czasu wojny z Moskwą.

Z innych też względów nie zdało mu się swawoli kozackiej i samowoli folgować.

Więc cośmy z nimi za sprawy czasu tych czterech tygodni przebywali, ani powiedzieć, ni zliczyć. Musiał pan nasz starszyznę sobie dobremi słowy a ciąglemi podarkami ujmować, bo z nimi bez datku nic nie zrobić.

Patrzyliśmy na to z bólem serca, jak mitygując ich i nie mogąc zjednać, codzień, cośmy z sobą najlepszego mieli, pomiędzy nich rozdawał. Poszło tak, co było ochędożnej i pięknej broni, rynsztunku wszelakiego, szat, futer, naostatek pieniędzy do ostatniego niemal grosza.

I bywało, zdaje się, że już starszyzna uspokojona, przekonana, a mołoccy upojone cicho, — czekamy posłów od Wołoszy. Wtem przybieży od granicy język, jako wioski tatarskie prawie bezbronne, a łupu w nich siła, albo teraz lub nigdy na Tatarów iść, których jak baranów zabrać można!

Zawichrzy się znów wszystko, lecą pod namiot do

pana z krzykiem wielkim. Żeby ich prowadził, że nie od tego hetmanem jest, aby ich hamował, ale aby im przodował, że przez niego szkodę ponoszą wielką.

A tu się jemu więcej oglądając przychodziło na Rzeczypospolitą, choć króla nie cierpią i nie cierpi, aby nieprzyjaciele nie powiadali, że na nią Turków i Tatarów zemstę sklągnął.

Wiec znowu w proshy i zaklęcia, i znowu starszych ujmować, choć po kilka dni pokoju sobie kupując.

My tymczasem w tej bezczynności, na lada jakim chlebie, często głodem przymieraję — jakęśmy się mieli, Bogu i nam wiadomo. Znowu tedy z nudów tych ledwieśmy babom krosien nie zazdrościili, bo się ryby lowić i ptactwo polować sprzykrzyło. Ludzie nasi z Kozakami po całych dniach pili, nie mając co czynić.

My zaś wszyscy, jakośmy przecierpieli, to nie, ale kto pana Samuela, co on za męki doznał wyrozumieł. Bo nieraz się hamować musiał, do czego nie nawykł, a nieraz zuchwale kozactwo mu niemal do oczów skakało i życie wisiało na włosku.

Podpił który, a miał na wątrobie co, szedł wprost, czapki nie zdejmując, pod namiot, siedział sobie za pan brat przy tym, którego oni batkiem, czyli ojcem, zwali, i bluzgał mu w oczy, co śliną do ust przyniosła.

Upiątniśmy jednego, dopoiwszy tak, aby go na rękach z namiotu przez wynieść było można, nalazi się drugi; a najgorsza była starszyna, która, skosztowawszy podarków, coraz na nowe wyciągała, których nie było już z tego brać... Sepety nasze i wozy stały opróżnione, koniśmy się pozbyle...

Tymczasem tych posłów wołoskich, cztery tygodnie oczekiwanych, ani widu, ani słychu... dalej i drugie cztery — głuchy... Można się było najciepliwszemu wszicce, co dopiero takiem, jak nasz pan Samuel, który nigdy czekać nie umiał. Wiadł w oczach, ale mu wstyd było i żał porzucie té imprezę, nie nie dokazawszy, choć myślny go nagwalt do domu z powrotem nawiązał,

VI.

Westchnał i popił Zarwaniec, a panowie Zborowscy spocząć mu nieco dali, choć końca byli ciekawi, acz się dobrego spodziewać nie mogli.

Krzychnik pierwszy biadać zaczął:

— Było mu tam głowę nieść bez korzyści pomiedzy to kozactwo, gdy tu tyle jest do czynienia! Kosztem tych trudów a zabiegów byłby w mojem ręku więcej dokazał, a może cały naród byłby mu za to wdzięcznym. Gorzej Tatarzyna nęka nas tu *Nigrum Concilum* ze swym chanem na czele. Na tego mu wyprawę było czynić, nie na Niż i Dnieprowe ostrowy!

To mówiąc, splunął podczaszy, a marszałek, który wiedział, że przy Zarwańcu wszystko mówić mógł, co chciał i myślał, odezwał się:

— Słuchaj Krzychnika, niech ci raz prawdę powiem. Ty żar chcesz wygrzebywać Samuelowymi rękami, a czemu sam nie poczynasz? Jam do tego niezdatny, ani się rwę, choć sercem i duszą z wami jestem; ty zaś, co się tak niecierpliwisz, czemu nie robisz nic?

— Bom tak, jako i miłość wasza, do roboty onej niezdatny — odparł Krzychnik. — Wymyśleć i wskazać, co czynić, moja rzecz, a gdzie na koni siąść i szabłą drogę po nocach zabiegać i zasadzać się trzeba, jam do niczego. Każdy człek się do czego innego rodzi, pan Samuel rzutki jest i gdy w dobrych rękach, nieoceniony... Własną głową tak chodzi, jak ono to na Niż, a za wskazaniem mojem, onby nas wszystkich z tej niewoli batorowskiej wyzwolił. Jeżeli powróci, nie może inaczej być, ja go wezmę w swe ręce... Zobaczcie!

Poklonił się, słuchając, Zarwaniec i rzekł cicho:

— Ino proszę miłości waszej pana Samuela wziąć a uczynić go komu posłuszny, to jest sztuka, której bodaj nawet pan podczaszy nie dokaże. Naprzód, że już za stary jest, aby swobody, do której nawykł dobrze, pozbyć się chciał, a potem krew ma gorącą, więc choćby się i poddał, w tem poddaństwie nie strzyma.

Rozśmiał się podezaszy.

— Ale on go ani czuć, ani znać nie będzie, — rzekł — myślą toż samo, co ja, pójdziemy ręka w rękę... Zgodzi się ze mną tyle tylko, że ja mu drogę wskażę i ułatwię. — Jabym mu wszystkich tatarskich chanów i hospodarów wołoskich z głowy wybił, kiedy my tu nad sobą mamy taką żelazną rękę, że tchnąć nie możemy.

Daj Boże, aby co najrychlej przybywał.

— Takci będzie, — dodał Zarwaniec — byłem grosza dostał, pośpieszy tu pewnie.

— Niechby choć przed weselem weczas stanął, boby się może udało pana młodego nie dopuścić do kobierca...

Wtem zwrócił się do Zarwańca.

— No mów, a kończ, coście to tam jeszcze na Niżu dokazywali, z czem się chwalić myślisz?

— Niewiele z tego chwały, — rzekł Zarwaniec — bo biedy więcej było, niż chluby.

Myśmy z tego próżnowania, jako i pan nasz, gotowi byli na wszystko. Puścił się tedy pan Samuel dla rozrywki, jako i dla lepszego poznania tego kraju i rzeki, po Dnieprze, po ostrowach, opatrując brzegi, roszystując ludzi o ich saletry, sole, wszelką kupię i plody.

Wtem, gdy na rzece był, spotkał tych, co po sól jechali na brzeg morski, która tam latem osycha, jako mąka, leżąc na ziemi i bierze ją każdy kto chce, ile mu się podoba, nie pytając, bo to bezpańska jest rzecz.

Ludzie ci, sól wiozący, powiedzieli mu, że nieopodal na morzu widzieli galery, które na Dniepr płynęły.

Natychmiast wyprawił pan nasz straż *ad ostium maris*, kiedy Dniepr w morze wpada, aby języka dostać i w istocie straż galery dwie na Dniepr wchodzące na swe oczy widziała, a przy nich lądem Tatarów tysiący, jak oni liczyli, z dziesiątek szło, chcąc w ciasnym miejscu z Kozaki się rozprawić.

Tego było potrzeba panu hetmanowi, który gwałtem bitwy pożądał... więc ludzi zebrał, zasadził się tak, aby ludzi z galer wysiadających, gdzie na ciasnym

ostrowu przydybał i tam ich wszystkich wybił co do nogi.

Ale nie wiedział o tem, że nie wszystka to moc tatarska była, ale tylko przez Sydziaka wysłana kupka dla języka, którzy Kozaków zoczywszy, ani się potykać myśląc, natychmiast tył podała.

Gdyby nie to, że się cokolwiek przypóźnił, pewnie by z nich żaden nie uszedł, ale poniewczasie próżny żał.

Więc wracaliśmy znowu do Siczy i znowu na Wołyń gotowaliśmy się, bo tak siedzieć nie chciał w próżnowaniu, gdy już posłów nadaremno się było spodziewać.

Gdy ciągnimy tak, co godzina, to nowina; na pierwszym noclegu potykamy znowu z jasyru tatarskiego zbiegły, których tu niemal każdego dnia można było znaleźć, bo się salwowali niebożątką, jak kto mógł i umiał, a niejeden wołał z głodu na stepie umrzeć lub w śniegu zmarznąć, niżeli w tatarskich pętach. Więc byle się okoliczność nadarzyła do ucieczki, biegli więźniowie, a co ich życiem przyplacało, który to policy? Nawet kości po nich nie pozostało na tych pustkowiach!

Gdyśmy jeńców rozpytywać poczeli, wszyscy jednozgodnie mówili nam: na Tatarów idźcie, teraz czas albo nigdy, bo tam na nich padła jakąś trwoga wielka i sama chanowa nawet do lasów uciekła.

Kozakom tego tylko potrzeba było, posłyszawszy, zerwali się gwałtem wielkim, aby zaraz iść nie miezkając.

Próżno pan Samuel chciał ich od tego odwodzić, a miarkować, aby na Polskę pomsty onego czasu nie naprowadzili, gdy wojna moskiewska nad nią wisiała. Siła czasu uplynęło, nim ich jakoś przywiódł do upamiętnienia, a polityki w tem wielkiej zażywając, posłał do chanowej z pięknemi słowy, aby trwogi nadaremnej się pozbyła i bezpiecznie w pokoju mieszkała, gdyż jej, jako syn, dawną z ojcem umowę o pokój chce święcie dotrzymać.

Co zaś to koszlowało biedy i mżozu, długobu opowiadać. Dosyć, że odprawiwszy szczęśliwie posły, sam do Wołoch się uparcie gotował, bo srodze obrażony był, iż mu nawet nie odpowiedzieli, lekko go ważąc sobie.

A no, jakom rzekł, każdy tu dzień inny wiatr wiatr i nami miotał.

Kiedy my na Wołoszę się gotujemy, przynoszą wieść, że Tatarzy są na zamku w Hasłanhorodku, tym samym, o który się był kniaż Rożyński kusił, kiedy mizernie zginął, prochy podłożywszy, któremi się sam w powietrze wysadził.

Szliśmy tedy śpieszno bardzo na Hasłanhorodek, a Tatarzy, o nas posłyszawszy, uskoczyli precz z obawy.

Nie wiodło się nam zrazu i tak już do końca.

Był z nami pod ten czas Kozak, którego oni tam wszyscy w nadzwyczajnej mieli estymie i Znachorem go zwali, iż umiał zamawiać strzelby i kule, tak, że wojsku, w którym on był, szkodzie nie miały. Inne też czarnoksięskie sztuki wyprawiał, któremi sobie takie poszanowanie pozyskał, że mu się wszystko klaniało. O czem hetman albo nie wiedział, lub sobie to lekceważył.

Do Tatarów, gdy już odeiągali, posłał pan Samuel Thomaeza, zapraszając ich na rozmowę, przy czem kilku Kozakom zasadzić się kazał dla bezpieczeństwa, aby Tatarzy się na niego nie porwali. Pomiędzy nimi Znachor był.

Ten, Tatarów zobaczywszy, strzymać nie mógł i wystrzelił do nich, a że hetman im za bezpieczeństwo ręczył, więc wpadł w pasję taką, iż się na Kozaka rzucił sam, chcąc go ubić, ale inni poskoczyli, obronili go i nie dali.

Tu dopiero widzieć było potrzeba i pana Samuela i Kozaków onych, i srogą zaciętość z obu stron, z takim impetem, żeśmy sądzili, iż żyw z tego nie wyjdzie.

Jak się tam innemu kozaćtwu udało pana Samuela pohamować, a Znachora przy życiu zachować, nie

wiem spełna, bom dla ciżby, jaka się zwaliła ku nim, nic widzieć nie mógł i hetmana dopiero zobaczył, gdy jak z łazieni z rąk się ich wyrwał, przeklinając dzień ten i godzinę, gdy na Niż mu się zachciało.

Aliści za późno było żałować teraz...

Na pociechę z Wołochy wrzekomo tak się składało, że u Probitego ku Bohu zjechać się zmówili, choć pan Samuel mało im ufał i nadzieję miał, ażeby na nich co wymógl.

Gdy się tedy z Kozaki zapomocą niektórych, hetmanowi skłonnejszych, uspokoili do czasu, choć już do nich, a oni do niego serce bardzo tracili, przysłali Tatarowie z podzięką, że się za nich ujął i pokój chciał utrzymać, za co wywdzięczając się, ofiarowali mu wraz z ludźmi stację i wszelkie opatrzenie, jeżeliby tu chciał spoczywać, przyczemby i chanów poznął, bo się ofiarowali przybyć ku niemu. Za co hetman podziękował im, bo mu do Probitego pilno było, zbywszy ich:

— Na ten czas nie potrzebuję nic!

Więc z pod Haslanhorodka jechaliśmy do Witoldowej Łazni, gdzie się pamięć onego wielkiego wojownika nie tylko uchowała, ale budynki i piecze okazywano, jakby z tych czasów, gdy on tu stał, a w łazni się parzył. Drudzy zaś mówili, że nie łazienia to była, ale komora, kiedy kupce parzyły.

Skąd pośpiesznie ku ujściu Dnieprówemu szliśmy dalej, a dziesięciu ludzi przodem słał do Probitego ku Bohu dla Wołochów, aby, jeśli się cokolwiek opóźni, onych tam zatrzymali.

Tymczasem owi wysłańcy trafili po drodze na wałęsających się Turków i pojmali ich trzynastu, ale że pohańcom pomóc przybiegala, uszli z nimi pośpiesznie ku Bohu i aż do Probitego ich dostawili. My zaś spożywaliśmy dzień na tym noclegu, skąd straż była posłana, bo Kozacy czolna trzecią obszywali, gdyż na morze były za małe.

Tuśmy się, stojąc, a na wyspach na morzu nicodległych słysząc o zwierzu, puścili na łowy.

Wtem słyszmy huk w dali, a rozeznać było trud-

no, czy z dział ognia dawano, czy grzmot się rozlegał, bo w tej stronie na niebiosach chmury stały.

Kozacy świadomi powiadali jedni, że na przekopie ognia dawano, drudzy zaś twierdzili, że grzmiało i lyliskoło. Więc, nie dorozumiewając się Turków, płynęliśmy na morze pełne, bo ci, co ku Bohu szli, o nich nam znać nie dali. Cicho i bez zaczepki przekop minęliśmy, Tatarom pokój dając.

Kiedy potem patrzymy, na morzu jakby zamek znaczny albo budowanie się ukazało, a że mrok padał, więc rozeznać było trudno, co przeciw sobie mamy. I tak na noc przyszliśmy.

Dopiero, gdy dzień zaczęło, ukazały się tureckie galery z ludem wojennym mnogim, że już mylić się nie było można.

A panu Samuelowi zaraz serce urosło i aż mu oczy zaplonęły.

Więc się do Kozaków obrócił.

— A co, panowie mołoccy! Szczęście nam samo się w ręce podaje; przy pomocy Bożej, może być i sława i korzyść niemała!

Przyczem na galery wskazał, ale Kozacy, choć zawsze ochońci, głowami potrząsali.

— Tubo nam — rzekli mu — o tem myśleć, jakby co najprędzej uchodzić, bo siła nie na naszą garść, zgnieliby nas pewno. Mierzyć się z nimi, ani próbować...

A naszemu panu okrutny żal był okazję połkania się stracić, ale sam wreszcie widział, że szczerze mu radzą i że nie pozostawało nic, ino uchodzić co chyżej.

Do Bohu siedem mil było, ucieczka przed galerami trudna, a zguba pewna. Co najgorsza, że Kozacy z temi czólnami ani się chcieli mierzyć przeciw galerom i stał się niepokój wielki, wołanie, czem i hetmanowi serca odjęli.

— Uciekać! — wołali — uchodzić! — i czolna zwracali.

Panu Samuelowi zaś, gdy już ratunku w ucieczce

nie widział, zdało się po rycersku dostać placu i życie ważyć, począł więc na nich krzyczeć:

— Niech was, mołoccy, nie obchodzi lik pagan, myśmy ludzie chrześcijańscy, Pana Boga prawdziwego słudzy, On nam wszechmocnością swą pomagać będzie i sił doda... Idźmy śmiało, a z pomocą Bożą i tej ich armacie i im, bluźniercom niewiernym, rady damy.. zwyciężym ich...

Tymczasem czółna i my na nich uchodziliśmy, a pan Samuel, stojąc, wciąż mitygował, zaklinał, aby sobie sronu nie czynili, a raczej się zwróciли mążnie i do bitwy gotowali.

Aż tu przedniejsza galera, na której ich tam starszy był, wysforowała się naprzód, goniąc nas, nimby inne ruszyły i krzyki ich: Allach! Allach! — zdala nas dochodziły.

Kozacy z czólnami do brzegu już przybiwszy, wysiądać i pierzchać chcieli, ale srom ich owładnął na ono wołanie helmańskie. Siedli do czólen napowrót.

Pan Samuel, wiele tem uradowany, chwalił im to, zwycięstwo obiecując, bo mu się wiele bitwę stoczyć pragnęło, że życie dla niej ważyć był gotowy.

Galera owa ich helmańska coraz się ku nim przybliżała, a była ze wszystkich największa i najpiękniejsza, sunęła tak, żeśmy nie tylko słyszeli ich bębny, surmy i okrzyki, ale zielone chorągwie, powiewające nad nimi, widzieli.

Pan Samuel z Kozaki stał śmiele, to im zaręczywszy, że skoro z jedną tylko galerą mieć będą do czynienia, przemówić ich dzielnością swą potrafią.

Stał cały jak w ogniu, trzęsąc się z niecierpliwości, pan Samuel i spostrzegłszy, że sternik jego czółna slabnie i źle kieruje, o mało w miejscu nie ubił, że mu go z rąk ledwie wyrwano.

Turcy się tej garstce śmiałej dziwując, już zaprawdę gotowali osiąć wszystkich i pojmać jako w sieci, bo wielką przewagę mieli, gdy galera na piasku im utknęła — ani ruszyć. Tam, gdzie czółna kozackie płynęły swobodnie, oni jak przykuci siedli.

Począł pan Samuel wołać, aby reszta spóźnionych przybywała, wielkim animuszem swym rzucił się na nich zamierzając. Ale Kozacy się nie ważyli i zamiast ku galerze, do brzegu sterowali, ani było ich zmusić.

Pan Samuel naprawdą ręce lamał, prosił i zaklinał.

Wtedy Turey, obaczywszy, że im uchodzimy, z działa ognia dawać zaczęli. Kula jedna tak niesześćśliwie padła, że sternika, który tuż przy panu stał, trafila, a ten podle niego padając, Kozaka z sobą w morze wywrócił, którego ledwie wyraflowano.

Kozaćtwo zaś, które zrazu chęć dobrą okazywało i na które hetman najwięcej rachował, do brzegu przybijając, poczęło się mieć do ucieczki.

Próźne było rozpaczliwe hetmańskie wołanie, aby drugim strachu nie wrażali i stromu sobie nie czynili — kule tureckie coraz w czółna trafiały i dziurawili je, tak że zatykać było trzeba, aby ich woda nie zalala.

Wziął się zamęt wielki, a pan nasz o wszystkiem zapomniawszy, wrwał tylko tem, jakby się bił i zabijał.

Turey, widząc, że na morzu nie nie uczynią, poczęli na ląd wysiadać. Kozacy też, wszyscy niemal wylądowawszy na brzeg, okolo hetmana się skupili.

Bitwa strzelbą rozpoczęła się gorącą, na którą patrzałem, bo przy nim byłem. Kule ku nam wszystkie wymierzone, jak grad dokola padały. Co zobaczywszy, Kozacy chcieli go na wzgórze uprowadzić, albo kucę tę, co go otaczała, rozproszyć, bo za cel służyła.

Hetman chłopeca, który przy nim ze strzelbą stał, ledwie popechnął od siebie, gdy kula go ugodziła i na pół rozcierała... tylko, że mu rusznice mógł pochwycić.

W tym zgielku mało co widzieć, a jeszcze mniej rozpoznać było można. Tylem na oczach miał, że na pana Samuela baczylem, ciągle się naprzód twącego, ognia dającego, a endem Bożym, choć gęsto go ostrzeliwano, żadna kula nie ugodziła.

Wtem między Turki okazało się, co zaś nie wiem, jakby bałwan jakiś we srebrnej zbroi, do którego zmierzywszy pan Samuel raz i drugi ognia dał, aż się z niego blachy posypały. Chorągiew też jedna się zachwia-

ła i padła, poczem lament usłyszeliśmy i wołanie przeraźliwe: Allaeh! Allaeh! co Kozacy rozumieli, jakby oni sprawę swą za straconą mieli.

Wnet też i im męstwa przybyło, gdy obaczyli, że nie tak Turey straszni, a od kul ich ten był ratunek, iż tam właśnie dzikie świnie doły ogromne poryły, w których, jak za szańcami, kryć się było można.

Pan nasz, jako strzelec doskonały, cudów prawie dokazywał, na cośmy patrzyli, gdy rzędem siedzących na ławie galery Turków ze śmigownicy wszystkich jednym strzałem razil i polożył.

Wtem Turey dwie galery wyprawili ku Bohowi, aby tam Tatarów przewozili, którzyby Kozakom tył zabrać mogli. I znowu się stała trwoga, a kozactwo do ucieczki się zabierało. Tylko pan nasz i nas kupka sercaśmy nie stracili.

Zgromił pan uchodzących sromem wielkim, że ich świat ma za rycerzy, jakim równych niema, a oni tchórzem podszyći — i trochę ich powstrzymał, ale też Turcy, zamieszanie u nas spostrzeglszy, otuchy nabrali i na ląd wysiądać poczęli, działa z galer na nas wymierzywszy.

Hetman przeciwko wysiadającym sam się ze swymi ludźmi ruszył, gdzie möglichie się potykali, choć nas nie było więcej jak kilkudziesięciu, a Turków przybywało. Jakoś to znowu Kozaków zachęciło, iż się zwróciły za naszymi.

Padło tam na placu Turków dosyć, przyczem ponowni Sędziak ich, alias hetman, padł, tak że wpław do swych galer uchodzić zaczęli.

Na tem tedy koniec był, bo gonić Turków nie przystało, więc szliśmy z Kozaki wraz lądem dla spoczynku w miejscu bezpiecznym, gdy nadbieżała Kozak, dając znać, że Tatarów kupa nadciągała.

Tych pan Samuel chciał fortelem pozyćć, aby ich pewniej zniszczył, miał bowiem z sobą nie wiem poco przygotowaną turecką chorągiew, którą wystawić w górę kazał, aby Tatarzy Turków zwycięzczami są-

dzili i śmiało następowali, a Kozacy wtedy ztyłu mieli ich zajść, gdy my czolo im stawić mieliśmy.

Kozakom też się to spodobało, a że z nich wielu języka tureckiego cokolwiek znało, więc naśladowując ich wołanie, jeszcze ich bardziej przynęcili. Byłoby może się powiodło, ale drugie kozactwo prędko ku nim skoczyło, czem Tatarowie spłoszeni, tył podali. Tych w pogoni cokolwiek nabito, a trupy obdzierano, powrócili Tatarowie i Kozacy ich dobrze odparli.

Tymczasem z galer strzelano i było tego niepokoju i miotania się dobrze na godzinę w noc.

Wreszcie trzeba było do czólen wrócić i o sobie myśleć, aż gdy do nich przyszedł pan hetman z Kozakami, znalazł mało nie wszystkie zniszczone i ledwie z nich osiem całych zostało. W te trocha Kozaków siadło, ale gdy wiatr wstał, zaniósł ich na brzeg tatarski i wszyscy się do niewoli dostali.

Rannych co było na jedno czólno położywszy, które miało wedle brzega płynąć, szedł pan hetman pieszo, a za nim wciąż pogoń tatarska, która się coraz powiększała, czem Kozacy mocno się trwożyć poczęli. Tylko nasz pan serca nie tracił.

I jako to jemu właściwa rzecz jest, iż im w większem był niebezpieczeństwie, tem się zdawał weselszy i śmierszy. Począł ich tedy napominać rycerskiem słowem o śmierci chwalebnej, choć nie wiem, czy tam pod ten czas słowo mogło wiele, choć im obiecywał, że byle śmiało szli, pewnie zwycięsko wyjdą.

Ale inne okoliczności smętne serce odejmowały, bo głód morzył i żywności żadnej nie było, a ranni na czolnie, nie mogąc dla piasku się wygrzebać z tego miejsca, wołali, aby ich dobito, żeby się nie męczyli nadaremnie.

To się stało dopiero drugiego dnia na rzece Bohu. Półtora dnia naówczas, prócz wody, nic w gębie nie mieliśmy, a gdzie który liści narwał — żuł, lub korzonków próbował, a drudzy żoledzi.

Kupą się trzymając, ciągnęliśmy do Bohu ku Ingułowi, a tu niektórzy Kozacy się znaleźli, co byli poucie-

kali i przy nich żywności trochę ładajakiej, ale ta jak najprzedniejsze smakowała marcepany. Nad Ingulem konieśmy zastali wprzód tam postane... a no i koniom, i ludziom, nam wszystkim w tych polach dzikich a pustych głodna śmierć grozila. I cośmy tatarskiej strzały uszli i jasyru — widzieliśmy, że przyjdzie w męczarniach ginąć.

Co było w człenkach, wszystko Turey popsowali i z wodą poszło, a przy sobie mało co kto miał i tego nie stało. Zwierza zaś ubié, albo ptactwa nie nadarzyło się, więc konie wszystkie rozdał między Kozaki, a no tych niewiele było, a wojska wszystkiego z półtrzecią tysiąca, gdy się razem zebrali.

Nie wiedzieć, co poczynać już było, ale hetman gowy nie tracił, klikunastu ludzi lepszych wybrawszy, z nimi jechał do Probitego uroczyska ku Wołochom, a że rybaków kilku tureckich pochwycić się udało, a od tych o straży wołoskiej dostaliśmy języka na Martwej Wodzie.

Zaczem do Martwej Wody, gdzie nikogośmy nie zastali, tylko świeże stanowisko, doły odogni i barlogi. Było już nas tylko jedenaście człowieka, a Wołochów tam stało osiemdziesiąt, ale dla żywności byłby pan hetman na nich napadł.

Tymczasem nie, szukaliśmy dalej wiatru w polu, jako powiadają, a Kozacy z głodu puchli i zdychali. Pan hetman też nie nie jadł, krom żołędzi, jako i drudzy.

Nocey już tu nie stojąc, pociągnęliśmy do Kremenczuka. Tu znowu żywej duszy, ni chleba, ni żadnej rzeczy... Wróciliśmy do Probitego uroczyska.

Patrzymy, na ścianie węglem pisanie świeże: „Jeżeli tu ktoś przybędzie z wojska hetmańskiego, powiedzie o nas na Krzywem uroczysku“.

Duch dopiero w nas wstępł, jechaliśmy jakby zmarłychwstali, a tuśmy przyboczną straż pańską znaleźliśmy, o której myśleliśmy, że ją Turek pochwycił. Dopiero ryb nałowili nam i nagotowali a napiekli i ludziom trochę sił powróciło.

A no tu, jeszcze szpary nam nie zaszły, już się na Wołochów gotował, zasłyszałszy, że ich w pobliżu półtorasta było, tak żądny był wojowania — ale Wołochowie zawsze tył podali.

Zarwaniec mówił ciągle, gdy pan Krzychnik szeroko głośno ziewnął.

— Czyż jeszcze nie koniec — spytał — waszych spraw ukraińskich i niżowych, bo ja ich mam dosyć, a sądzę, że i pan marszałek nie żądny więcej.

Zarwaniec wąsa pogładził.

— Jak przykażecie, — rzekł — mnie się zdało, że jużci pana Samuela mestwo nie obojętne braci... My stamtąd od Soroki iść mieliśmy, a obróciliśmy drogę inaczej, bośmy z Bracławia się żywności spodziewali — a nędza taka była dla głodu, że Kozacy kości, kopyta, rogi, w ziemi zagrzebane zdawna i pognięte, dobywali, jedli i od nich umierali.

— Tośmy słyszeli, — przerwał Krzychnik — a no powiedziecie, jakże się to skończyło i kiedy hetmaństwo z buławą poszło? Bo powiadacie, że Samko powraca?

— W drodze jest pewnie — dodał, nieco zmitrężony, Zarwaniec. — Co się tyczy hetmaństwa i Niżu, jam prosty człek, jakem szedł za panem, nie wiedząc poco, tak wróciłem, nie wiedząc dlaczego.

Poruszył ramionami.

— Dać Bóg, przybędzie pan Samuel, to on lepiej wy tłumaczy całą tę swą podróż, ja tyle wiem, że dali bóg między Kozaki pamiętać o nim zostanie, iż takiego nigdy nie widzieli.

— Pewnie! — zaśmiał się Krzysztof — pewnie, mestwa mu nie odjąć, ale poco to wszystko się zdało? Na Moskwę chciał, na Tatarów się rzucił, Wołochom się odgrażał, Kozaków zmitrężył, a w końcu nie dotrwał nigdzie i wszystko straciwszy, powraca z tym jednym łupem, że rozumu się nauczył może.

— Gdybyż! — westchnął marszałek.

Zarwaniec się obraził.

— Proszę o przebaczenie miłości waszych, — rzekł — panu naszemu rozumu nikt odmówić nie może...

I skłonił się sztywnie, a czoło mu się pofałdowało.

— Ja mu też tego nie odmawiam, — odezwał się Andrzej — ma rozum dla drugich, a dla siebie go nie używa. Poco mu było na Niż? chyba, aby stracić i koni i ludzi i pieniędzy siła, a powrócić z kijem, miasto buławą... Poco było na Niż?

Zarwaniec stał, mruczał coś pod nosem, lecz jawne było, że mu się pana bronić chciało i język okrutnie świerzbiał.

— A! miłościori panowie — rzekł — kto by w tym człowieku siedział, a było mu, jak jemu, markotno, a chodziłyby wszędzy za nim widma i mary, nie dzwiłyby się Niżowi, a choćby i gorszej alternatywie.

Wtem Krzychnik się zżymnął.

— O jakich widmach i marach prawisz, człowiece? — zakrzyknął.

Zarwaniec, jakby mu usta na kłódkę zamknął, ani słowa... Powtórzył to pytanie raz i drugi, nic z niego nie dobył.

— Cóż milczysz? Wszakżeśmy sami! — rzekł podczaszy.

— Nie mnie stawać w pańskiej obronie przeciw bratu, — odparł Zarwaniec — ino tyle powiem, że jego tą miarą nie trzeba mierzyć, co pospolitego człowieka.

I westchnął.

Zmiarkowali ichmościowie, że pytać się go nie godzilo, a przynajmniej nie wszystko, a Krzychnik, po myślawszy chwilę, cicho szepnął:

— Wojtaszek gdzie?

Imię Wojtaszka na Zarwańcu zdawało się czynić nieprzyjemne wrażenie, aż się wzdrygnął. Skrzywił się mocno, ręką machnął, splunął.

— Bogdajbyśmy go nie byli oglądali, — rzekł — to zgaga i nieszczęście nasze ten człowiek, bo pana nie-nawidzi, wszystkie tajemnice wie i gotów je sprzedać, a pan go dla pieśni lubi i boi się, i sam nie wie czy go ubić, czy go głaskać, bo wypuścić w świat nie można.

Zmarszczył się mocno pan podezaszy.

— Wojtaszka nam pod niebytność pana jak oka

we lbie pilnować kazano, — mówił dalej Zarwaniec — a to bestja zuchwała i wszeteczna. Nikomu nie daruje w domu, wyśmiewa wszystkich, szpieguje wszystko...

Podezaszy niecierpliwie przerwał mówiącemu chrząkaniem i oburacz wskazał mu na gardło, poczem dodał:

— I po wszystkiem!

— Płakać po nim będą — ruszył ramionami Zarwaniec.

Chwila milczenia nastąpiła. ..

— Dostaleś pieniędzy? — spytał podezaszy.

— Mało wiele, — odparł stary sługa — jam się u miłości waszej spodziewał pozyczyć.

— U mnie! — krzyknął pan Krzysztof. — A toś mi dobry! Ja pieniędzy nie daję nikomu: biorę od każdego, co daje, a dla Samuela, dla tego dziurawego worka bezdennego, jabym miał mój grosz krwawy dać!...

Ruszył ramionami raz i drugi, a patrzącemu na sieć Zarwańcowi wskazał na pana Andrzeja. Ten też siedział, jakby nie słyszał, czy nie rozumiał.

— Panie marszałku — począł sługa.

— Jeżeli się z tem do mnie zwracasz, — rzekł, podnosząc głowę, pan Andrzej — toś i tu chybili. Krzychnik nie chce dać, a ja nie mogę, bo nie mam. Mnie się zda, że albo do Włodkowej, albo do dzieci z tem potrzeba... choć jam pewny, że nim ty z pieniędzmi przybędziesz, Samko już ich sobie dostanie.

— A powiedzcie mu, niechaj do nas pośpiesza, — dodał Krzychnik — bo jest potrzebny mnie i rodzinie.

— Ma głowę nadaremnie ważyć — niechże krwi swej usłuży. On jeden albo nikt tę gadzinę Zamojskiego zdusić może.

Naówczas dla króla aptekarzy i pigułek szukać nie będziemy potrzebowali, bo gdy hetmana nie stanie, król bez rąk się uczuje i nie ruszy. Ino Samko niech pośpiesza, bo się na wesele gotują, a lepiej go przedtem sprzątnąć, aby nie triumfował.

— Gdyby nie ten wasz Niż, — mówił dalej Krzychnik — jużby pewnie było skończone.

Stary Zarwaniec, słuchając, jakoś niebardzo to brał do serca, nie spodobało mu się, iż podczaszy, sam w kąt się chowając, Samuela chciał na chyż wystawić, i jego rękami żar grzebać, aby swoich nie poparzył. Milczał więc, oburzyło go to, iż pieniędzy dać nie chciał, a życie wziąć był gotów.

— Naszemu panu po tej imprezie spoczynek należy — odezwał się.

— Komu? Jemu? On nie spoczywa nigdy! Nie damy mu roboty — to sam znowu drugi Niż wymyśli, a to jeszcze łaska Boża, że go jak przed kilku laty, tak i teraz uniwersałami nie gonili, chwytać nie kazali i baniacji nie przypominali.

— Toć dawno przyszła — rzekł Zarwaniec. — Wiadoma rzecz, iż pan nasz chodził z wojskiem na Moskwę, — nie mówili mu nic; po sejmikach i zjazdach się okazywał, więc obawy o to niema.

Andrzej głową trząsnął.

— Temuby zbytnio nie ufać — rzekł. — Banicja nie zniesiona; kiedy zechcą, ją odnowią, bo ona nigdy waloru nie traci, aż prawnie odwołaną zostanie.

— Zapomnieli o niej wszyscy potrosze — rzekł Krzychnik. — Samuel się też zbytnio na oczy nawijać nie potrzebuje. Ja mój plan mam, bylem jego dostał.

Pochwycił Zarwaniec za czapkę, która na ławie leżała i zapytał, co więcej panu mu powiedzieć zlecał.

— Nic, krom tego, ażeby skoro przybywał, ho mnie i nam tak potrzebny jest, jak nigdy nie był. Nie baw, pośpieszaj, a gdy Samko powróci, znać mi dajcie, abyśmy się zjechali.

Sklonił się Zarwaniec i wyszedł.

VII.

Było to na krakowskim zamku, pod niebytność królewską, gdzie sama tylko królowa Anna pod ten czas mieszkała, dokola niej spokój wielki panował, bo się wszelkie życie na dworze króla i w dworcu hetmana skupiało.

Pusto wlec i smutno było na zamku. Mała tylko garstka przyjaciół i domowników królowej przesuwała się cicho i skromnie.

Nie te to już były czasy, gdy Anna Jagiellonka, po śmierci brata, czolo stawiając senatorom, elekcję golując, krzastała się i na postugi miała możnych ludzi. Teraz ona, królową zostawszy, w istocie panią być przestała. Opatrywano potrzeby, nie zbywało na niczem, ale wpływu najmniejszego uzyskać nie mogła.

Małżeństwo z Batorym było tylko pozorem, aby jako mąż i król mógł panować, ją wyzuwszy ze wszelkiej władzy.

Nikomu to ona przypisywała, tylko Zamojskiemu, a bolalo ją moeno to wydziedziczenie... Kanclerz grzeczny i zimny krew królewską szanował i dostojeństwo, ale o tem, co się władzy i rządu tyczyło, ani mówić dawał.

Sadziła królowa kwiatki, kazala suszyę ziola do apteczki, myślała o grobach dla matki i brata, wychowywała sieroty, pilno korespondowała ze Szwecją i tam się zwracały jej oczy i jej nadzieję, tam był ten, którego za syna sobie przybrała... Zygmunt, któremu ona wszelkimi sposoby zapewnić chciała po Batorym następstwo.

Nie mając kogo kochać, do tego dziecięcia dorastającego przywiązała się zaocznie z całą namiętnością sierociew swojego. Choć w ten sposób matką być chciała.

Król na krakowskim zamku gościem bywał, albo w Grodnie dla łowów, albo na granicach dla wojny mieszkając. W Krakowie mu było dla królowej ciasno i markotno, bo ta starsza daleko od niego niewiasta przypominała mu, że ją dla korony poślubił.

I rumienił się wojak, a potargiwał brodę, chociaż tu był w swoim żywiole, bo wojnę miał i lad do zaprowadzania i czlowieka, który myśli jego zgadywał, a endownie je spełniał. Tym czlowiekiem był Jan Zamojski, którego głową i rozumem wszystko stało, bo Batory kraju nie znal, z ludźmi nie wiedział jak się obchodzić

i bez niego możeby, jak Henryk, porzucił tron, na którym mu spokojnie usiedzieć nie dawano.

Z rana tego dnia ów zamek cichy nagle się zaludnił. hetman i kanclerz przybył z Knyszyna, a skoro się o tem wieś rozeszła, popłynęły strumienie ludzi ku niemu, bo to drugi król był, a choć go niechętni głową Czarnej Rady zwali i gorzej, wszystkich oczy były na niego zwrócone.

Z górnych okien skromny fraucymer królowej pani patrzał na wozy, które na zamek zachodziły, bo hetman się tu mieścił, aby być królowi na zwołanie pod bokiem.

W sile wieku był naówczas ten mąż, który wodze Rzeczypospolitej trzymał w swym ręku, postawy wspaniałej i pięknej, lica męskiego, na którym rozum i stateczność jakby napiętowane były. Na hetmana i kanclerza nic mu nie brakło, bo i wymowę, i postać, i obyczaj miał senatorski, a mimo dobroci serca, więcej w nim stałość i hart, niż miękkość jaką widać było. Nie będąc z powołania rycerzem, gdyż więcej piórem, niż szabłą i głową, niż ręką pracował, — hetmani umiał i buława mu tak przystała, jakby się z nią urodził.

Kochali go otaczający, ale więcej jeszcze szanowali i obawiali się, bo wiedzieli, że nieubłagany był, gdy ze słabościami ludzkiem miało do czynienia, i choć im przebaczył niekiedy, nigdy ich niewinnemi nie poczytywał. Skaził się kto w jego oczach, trudno już było tę skazę zmazać... Pamiętał ją zawsze.

Ze dworu i wozów poznać było człowieka: ludzie karności wielkiej, milczący, przybór pański, ale niewystawny, przepychu nigdzie, świecideł żadnych.

Nie ruszyliby się może tak ludzie na wiadomość o przybyciu króla, jak na wieść, że kanclerz przyjechał. O niego się opierało wszystko.

Ledwie wszedł do swych komnat, do których mu przyboczny jego, Heindenstein, towarzyszył, gdy z miasta na koniu nadbiegł mężczyzna średnich lat, ogorzały, krępy, twarzy rycerskiej, ruchów żołnierskich, skrom-

nie odziany... a tak pędził, aby stanąć co rychlej, że gdy u progu komnat był już, pot z czola dugo ocierać musiał i dyszał, bo mu w piersiach tchu brakło.

Wreszcie wypocząwszy nieco, za klamkę ujął, a w przedsieni znajdująca się służba zaraz mu drzwi do hetmańskiej izby otworzyła.

Zamojski siedział za stołem, wypoczywając, a gdy wechodzącego zobaczył, ręką mu skinął uprzejmie i uśmiechnął się.

— Ażaliś się ty mnie spodziewał? — zapytał.

— Nie wiedzę ani dnia, ani godziny — odparł rotmistrz piechoty, Mroczek, ulubiony i zaufany sluga hetmana.

— Masz li co nowego? — zapytał hetman.

— Siła rzeczy jest — rzekł rotmistrz — ale wszystko odgrzewane.

— Cóż Zborowscy robią? — zapytał Zamojski, truchę się marszcząc.

— To, co zawsze, spiskują! — odparł Mroczek. — A mnie się widzi nie przestaną, aż po lbie który z nich oberwie.

— Myślę, że groźby dosyje będzie — odezwał się hetman. — Podezaszy najgorszym jest, ale odwagi nie ma. Burezeć będzie i poduszczać drugich, sam nic nie pocznie.

— Na to ma Samuela — odezwał się Mroczek.

— Ten na Niżu z Kozaki — dodał hetman.

— Jako żywo, powrócił — śmiejąc się, począł rotmistrz. — Cuda tedy powiadają, jak tam dokazywał, jak hetmani, jak buławę dzierżył, z Kozaki, Wołoszą, Tatarami, Turkami, z Moskwą się potykał i zbywszy mienia, a mało i nie życia, — goli powrócił.

Zamojski słuchał roztargniony.

— Gdzież jest?

— Pewnie w której z majątkości swych odpoczywa, bo z banieji oni sobie nie nie czynią, powiadając, że dawno została zabytą... a gdy on w wojsku króla niepowołany wojował, więc i wszędzie swobodnie obracać się może.

— Hetman nie rzekł nic, a Mroczek, poczekawszy mało i głos zniżywszy, dodał:

— Dalby Bóg, aby to próżne były przechwałki, a no wieści chodzą, iż albo królowi truciznę, albo miłości waszej napaść i śmierć gotują, bo sierdzą się okrutnie.

— Strzecyś się winien Mroczek, i lada babskich plotek nie powtarzać. Nie od dziś dnia oni o tej trutce gadają, — ale się ważyć na to nie mogą.

— Takby się zdawało, — westchnął rotmistrz — gdybyśmy i ludzi, i okoliczności nie wiedzieli, w których starali się o *venenum* i o zadanie go królowi.

Kanclerz w szerokie dlonie uderzył.

— Boże wieczny! — zawałał. — Czego ci ludzie chcą od króla! lepszego nigdy nie mieli i mieć nie będą, ale to nieszczęście, że mu przypadło one stajnie Augjaszowe czyścić, a niema zjadliwszej rzeczy, jak brud. Raz go przecie z tej Rzeczypospolitej wymieść potrzeba lub ona zginie... Czas już na to. Cugli warchołom nie nałożywszy, roznieśliby wszystko marnie!

Zamilkli nieco, a Mroczek, poczekawszy, czy hetman sam nie pocznie, dodał:

— Teraz to ono szczęśliwe wesele miłości waszej na nowo poburzyło zazdrosnych i niechętnych. Na bacznosci się mieć potrzeba. Ludu się zbierze tłum wielki, nieznajomych, cudzoziemców, dopilnować będzie trudno, a czasu takiego obchodu — dozór trudny. Właśnie się i dla króla jegomości i dla miłości waszej tej chwili obawiam najwięcej.

— Podwoicie czujność waszą, kochany Mroczku — odparł hetman.

— Nie o mnie samego idzie — dodał z powagą. — Ja się przy pomocy Bożej nie lękam ich pogróźek i zasadzek, ale takim ludziom, jak Samuel, którzy nic nie szanują, dla których prawa niema i hamulca... trzeba okazać, że się nie folguje złemu i bezkarnie szaleć nie dopuścić... Będzie li potrzebny przykład, choćby krwawy! ha!

I hetman zamilkł, obejrzał się, a natychmiast potem

Mroczka o inne sprawy, wojska się tyczące, badać za
cażł.

Mroczek pomiędzy slugami hetmana niewielkie
i niezbyt wybitne miejsce zajmował. Napozór był ty-
ko rotmistrzem nowej piechoty, więc żołnierzem, ale
oprócz tego, służył bystremi oczyma i przebiegłością
a niemniej wypróbowaną odwagą.

Mało ludzi domyślało się w nim tej bystrości i ocho-
ty postrzegania, więc się przed nim nie ukrywano
i Mroczek widzieć a nasłuchać się mógł wiele, o czem
hetmanowi natychmiast donosił. Byli inni na tych po-
slugach, bo się bez nich obejść nie było można, gdy
spiskować, zmawiać się i zasadzać na króla i hetmana
poczęto.

Ukaranie Ościka trochę pohamowało zuchwałychn
ale też i rozjatrzyło. Zbrodnia była jawną, połapaną
pisma o niej świadczyły — kara też domierzona słu-
szna, ale okrutną się wydawała. Mówiła ona, że nikogo
nie oszczędzą.

Tej żelaznej ręki króla i Zamojskiego obawiano się
i pozbyć chciiano, bo do bezsilnej wszyscy byli nawykli
Spodziewali się Zborowscy znaleźć pomocników
w licznych malkontentach, których ostrość rządów
Batorego zniechęcała i przeciw tak zwanemu despo-
tyzmowi jego oburzała.

Musiano mieć oko na pokątnie roboty, które niebez-
pieczniejszemi były, niż publiczne występowanie
szlachty na sejmach, które wiele wrzawy, ale żadnego
nie wywierały skutku.

Zdawszy panu swemu sprawę z tego, co widział
i słyszał, Mroczek powrócił z zamku na miasto.

Nie spowiadał się on przed Zamojskim z tego, cze-
go niespełna był pewnym, choć go wieści różne dochodziły. Zewsząd bowiem zdawało się to potwierdzać, iż
dla króla truciznę, a na kanclerza napad zbrojny go-
towano. I to nie było tajmem, że Zborowscy najczyn-
niejsi byli, a Krzysztof niespokojnie się krzątał w tej
nadziei, że śmierć króla nową elekcję sprowadzi, która

Rakuszanina na tron wyniesie, a z nim i Zborowskich na widownię wydzwignie.

Czuwał, jako mógl Mroczek, wywiadując się, a choć nie o wszystkiem hetmana uwiadamiał — wszędzie ząglądał, aby sprawdzić, co go dochodziło...

Tak tedy i owo szeptanie o truciznie dla króla, którą Zborowscy gotować mieli, nie uszło baczności Mroczka, acz mu się ona bardzo niepewną wydawała. Więc śledząc, skądby ją mogli wziąć, Mroczek doszedł po cienkiej nitce do kłębka, bo mu zchcia i ostrożnie ukazano aptekę na rogu Grodzkiej ulicy, do zamku idąc, o której powiadano, iż tam wszystkiego, nawet i trucizny, dobrze płacąc, dostać było można.

Inaczej tego sprawdzić nie mogąc, rotmistrz musiał sposobnych do tego użyć ludzi i właśnie z zamku powróciwszy, czekał na niejakiego Jana Dzierżka, który mu miał w tem być pomocą. Mroczek sam nadto znanym był, ażeby na siebie oczy ściągnąć, posłużyć się więc kimś musiał.

Dzierżek należał do tej szlachty zubożałej, która w posłudze panów kawałka chleba szukać musiała. Rycersko najprzód sługiwał, ale pod Połockiem rażony, okulał tak, że o kiju chodzić musiał i na koń mu już siąść było ciężko, musiał więc gdzie indziej sobie chleba szukać.

Znał go z wyprawy Mroczek i lubił dla wielkiej usłużności, a i z tego, iż języka na dziadowski bicz nie rozpuszczał i umiał go za zębami trzymać.

Z zamku do gospody swej na miasto powróciwszy na Grodzką ulicę, już przed bramą na ławie zastał siedzącego Dzierżka, który, choć z pomocą kija, rzeško się porwał, ukłonem witając rotmistrza.

Mały, pulchny, okrągły, rumiany, śmiejącej się twarzy, Dzierżek pokorny był i wielce posłuszny. Swoim rozumem tam tylko się posługiwał, gdzie mu cudzego nie starczyło, idąc zawsze za rozkazami i wskazówką.

Razem z nim weszli do izby, którą rotmistrz w gospodzie u mieszkańców zajmował, skromnie się trzymając, bo więcej nie miał nad jedną niewielką komnat-

kę, w której i kosztowniejsze rzędy, i rynsztunek swój trzymał.

— Wracasz wasza miłość od pana hetmana? Boże mu daj wszystko dobre! — odezwał się okulawiały szlachcic. — Mieć więc będziemy weselisko, które pewnie królewskim dorówna, jakich my za naszego życia nie widywali. Sposobią się do niego wszyscy, jakby najokazalej wystąpić.

— Wszyscy! — odparł Mroczek, siadając i potocierając z czoła. — A no nie wrogi nasze!

— Wrogi — zawała Dzierżek. — Toć ich chyba ze świecą szukać...

— Ja ich i po dniu widzę, nawet bez świecy o zmroku, — westchnął rotmistrz — choć się kryją.

— Jeśli się kryją, toby ich odkryć należało — doał Dzierżek, spoglądając ku Mroczkowi, jakby się ku temu ofiarował.

— Pomożecie? — wrącił rotmistrz.

— Miły Jezu! — wesoło a pośpiesznie zawała Dzierżek. — Dopiero tym szczęśliwym był, gdybym mógł!!

Postał nieco Mroczek, chwila upłynęła, nim, głos zniżyszy, mówić począł.

— Gadanie jest i niepróżne, — rzekł — że Zborowscy na króla truciznę gotują... Nie chciałoby się wiezyć, gdyby ze złymi ludźmi i najgorsza rzecz nie była prawdopodobną.

Dzierżek milczący ręce załamał.

— Niechże Bóg strzeże! — zawała.

— A wiesz wańpan przysłowie, że Pan Bóg strzeże strzeżonego, więc myśmy króla strzec powinni.

— Choćby życie dać! — gorąco podchwycił Dzierżek. — Gdyby tylko możliwość...

— Wszystko to dotąd — ciągnął dalej Mroczek — gadaniny są, ale je należy zbadać, czy w nich jakieś ziarnko prawdy nie siedzi. Ze zadaćby chcieli, temu ja wierzę, a że lada babskiego ziela ku temu nie użyją, to pewna, i że u nas gdzie indziej jak w aptece, tego nie dostać, to ja rozumiem. Z aptek zaś, które tu w Kra-

kowie znam, jedna mi się tylko zdaje taką, że w niej za pieniądze wszystko dadzą.

Mroczek przestał mówić, a Dzierżek, zmarszczyszy czoło, rękę wyciągnął i ku rogowi ulicy Grodzkiej wskazał.

— Myślicie u Fontanusa? — szepnął, głową potwierdzając.

— A juści — rzekł Mroczek. — Ale co o nim mówią, potwarzą być może. Wypróbować go potrzeba, nim na niego bacznosć zwróciśmy.

Tu Dzierżek poważniej nastroił twarz, rzecz się przedstawiała tak, iż mogła daleko prowadzić. Czekał, co przyjdzie. Mroczek też ociągał się z mówieniem, bo i jemu sprawa ta wydawała się niełatwą, aby nie narazić niewinnego człowieka i siebie.

Nużby ów sprzedajny Fontanus zdradził i ukazał, że u niego żądano trucizny?

Ów Fontanus człek był obcy, pono Niemiec, ale zdawna w Krakowie osiadły. Mówił łamanym językiem, ale już w ziemię tę wróś i za tubylca się uważały. Niegdyś go ludzie starsi pamiętali, iż z małym węzeliem do Krakowa przybył, maścimi jakiemiś i kroplami handlując, a sławiąc swą wielką znajomość ziół lekarskich.

Oficyny naówczas nie miał z czego założyć, ani na nią przywileju potrzebnego otrzymać nie mógł. Tymczasem, gdy po ulicach chodząc, swe medykamenty cudowne sprzedawał, udało mu się chorego kanonika kapituły krakowskiej, od doktorów opuszczonego, jakimś napojem do zdrowia przywrócić. Ten go biskupowi krakowskiemu zalecił, a z łaski jego przyrzeczono Fontanusowi przywilej na ową oficynę sanitalis.

Przeciagnęło się to, bo wędrowny farmaceuta nie miał pieniędzy, potrzebnych dla zaopatrzenia apteki i dopiero znalazłszy wspólnika, bogatego mieszczańca, na rogu Grodzkiej ulicy najął kilka izb przybłęda ów i w nich swe alembiki i słoje rozstawać począł.

Zrażu się to bardzo mizernie okazywało, ale Niemiec miał szczęście.

Mieszczanin wspólnik zmarł mu, przyczem się oka-
zało, że Fontanus mu już nie winien nie był, choć
familia inaczej dowodziła. Zaraz po śmierci jego oficy-
na Fontanusa przybrała inny pozór. Wywieszono znak,
a w pierwszej izbie pokaźno urządziła się apteka,
z mnóstwem słojuów, flasz, szklanie, na których stali
piękne napisy po łacinie: Syrupus, Decoctum, Bolus,
Electuarium, Confeccio i t. p.

Nie była po owe czasy apteka tem, czem dzisiaj,
pod rozkazami tylko doktora rozdającym lekarstwa
składem medykamentów. Miał każdy aptekarz swe
sekreta, a był potrosze sam lekarzem i wiadomem było
powszechnie, iż w dziesięćkroć tyle zarabiał, co naj-
lepszy z doktorów.

Ingredjencje bowiem, jakich naówczas zażywano
do leków, nie były tak proste, jak dziś. Osobliwych
potrzebowano, które zdaleka sprowadzały i wielkim
kosztem nabywały musiano. Rogi zwierząt, tłuszez, in-
nych kości i t. p. nieodzwornie się znajdowały musialy,
a niedźwiedzia tłustość wecale naówczas miała inaczej
skutkować, niż zajęca. Potrzebowano i rogów jedno-
rożca, i kamieni, które zdala przychodziły musialy,
i zmiełonych na proch kosztownych utworów, i ziemi,
która tylko w pewnych krajaach się znajdowała.

Natura wówczas pierwszym aptekarzem była i wy-
rabiała gotowe lekarstwa, których ludzie wedle tra-
dycji używali.

W to wszystko zasposobić się nie było łatwo.
A i oczy też ludzkie w takiej aptece olśnić było potrze-
ba, aby się wydawała skarbnią.

Zwykle więc, oprócz naczyń z gotowemi lekarstwy,
wypechane płaki, rogi różne, skóry stworzenia osobliwe
przyozdabiały taką oficynę. A im ona pokaźniejszą
była, tem ją doskonalszą mniemano.

Schodziły się tu i doktorowie podezas i pacjenci, któ-
rym aptekarz z własnych sekretów drogie leki sprze-
dawał. Cena ich całkiem od fantazji jego zależała, że
zaś drogie się zawsze lepszym wydaje, w dwojakim in-

teresie swym — aptekarze cenę podnosili. Któżby miał wiarę w lekarstwo tanie i proste?

Fontanus już podówczas przyszedł do tego, że jego oficynie na niczem wykwintniejszym nie zbywało. Ze wszystkich części świata miał zioła, kamienie, driakwie i balsamy. Prawda, że je na wagę złota sprzedawał, ale też skutkowały, jak żadne, bo do nich przywiązywana wiara siłę im nadawała.

Słynął Fontanus i zazdrość obudzała. Chociaż mu się tak szczęściło, iż oprócz apteki, do której sobie kamienię, wpierw najmowaną, kupił, posiadał dwie inne, a grunta i place za miastem, — żył bardzo skromnie i nie ożenił się nawet. Chudy, zawiędły, z policzkami zapadłemi, z włosami jasnemi, które płasko i posłusznie na wylysiałej czaszce mu się układały, w stroju czarnym, poważnym, w ogromnych okularach, których nigdy nie zrzucił, kręcił się pilno, z jednym wyrostkiem do pomocy i stróżem radę sobie dając, choć robyt miały duzo.

We dnie ani na chwilę nie mógł się oddalić z apteki, bo miał nieustannie gości, nocami, powiadano, że na alembikach i różnych przyrządach ekstrakty wyciągał, których sam dozierał.

A nie było rzeczy, którejby u niego dostać nie można, bo i kosmetyki, i przysmaki przyprawiał, i bielidło, i róż. Mówiono nawet, że i takie rzeczy sprzedawał, za które baby pod pręgierzem stawiano, że czarnoksięską sztukę znał i trucizny przyprawiał. Nigdy jednak nic najaw nie wyszło.

Oprócz tych, którym apteka jego solą w oku była, bo ci go szalbierzem nazywali i dowodzili, że często zafarbowaną wodę za kosztowny lek sprzedawał, nie miał Fontanus nieprzyjaciół. Ostentacyjnie ubogich nie tylko leczył, ale karmił, pauprom garnuszki ich bez szemrania napelniał, a doktorów wszystkich chwalił i miedrcami nazywał.

Oficyna też na rogu Grodzkiej ulicy, choćby w niej chorych i kupujących brakło, zawsze prawie gości mieszkała. Schodzili się tu doktorowie i znajomi mieszkańców

na gawędę i na pokrzepienie, bo Fontanus wzmacniające napoje, bardzo przedziwne, jak nikt, robić umiał.

Dzierżek, gdy z niezgoyoną jeszcze całkiem nogą z pod Płocka się dostał do Krakowa, z porady przyjaciół u Fontanusa szukał gojących środków, dostał je u niego, i zdawało mu się, że jemu zawdzięczał zupełnie uzdrowienie, choć kulawym pozostał.

Znał więc pan Jan onego Fontanusa i z tem się zaraz pochwalił.

— Jam o tem wiedział, że go znasz — rzekł Mroczek — i na tym fundamencie chciałem, abyś wypróbował człowieka, a wybadał go, azali za wielkie bodaj pieniądze truciznę sprzedaje, bo tak o nim twierdzą ludzie.

Dzierżek się poskrobał po głowie.

— Prawdę rzekłszy — odezwał się, — choćby człowiek zlej myśli nie miał, w czym bądź oczach, choćby na krótki czas, za truciciela uchodzić, niemiła rzecz, ale...

— Gdy tym sposobem życie komu ocalić można? — podchwycił Mroczek.

— Ja się też nie wymawiam od posługi, — rzekł Dzierżek — ino proszę, gdyby mnie Fontanus wskazał, a na męki brać chciano, pamiętajcie, abyście sługę waszego bronili.

— O to się nie obawiajcie — podchwycił rotmistrz żywo. — Służycie nie mnie, ale królowi i kanclerzowi, a ci swe sługi opuszczać nie zwykli.

Zadumał się Dzierżek.

— Ba! — rzekł po chwili. — Fontanus kuty jest, trudna z nim rada, nielacno z niego dobyć słowa, ale próbować będę.

Na tem się narada skończyła i Dzierżek wkrótce potem wyszedł; tegoż wieczora do apteki podążył. Godzina ta najlepszą mu się zdawała, bo się mało kogo spotkać tu spodziewał, choć dwu jeszcze lekarzy siedziało i o formułach przeciwko *Pituitam* rozprawiało.

Tych, po przywitaniu, w kącie zasiadłszy, cierpliwie słuchał kulawy rycerz, aż nareszcie wyszli i sam

na sam pozostał z Fontanusem, który z poza okularów dawno go badał, wiedząc pewnie, że nie bez interesu przychodził.

Dzierżkowi wykrztusić truciznę, którą na języku miał, niezmiernie było trudno. Twarz mu się rumieńcem zalewała, gdy o niej pomyślał. Fontanus rozmownym nie był i tylko krzątając się, słoje i flaszki porządkując i ustawiając, skąpemi odpowiadał słowy.

Począł Dzierżek od tego, iż się zaczął unosić nad tem bogactwem, jakie w oficynie widział, i jak tu wszystkiego, coby człowiek zamyślał, pewnie dostać było można. Z tej okazji, licząc różne potrzeby, na truciznę utknął.

Trzeba było widzieć Fontanusa, który słój trzymając w ręku, właśnie stał naprzeciw mówiącego, jak nań spojrzał.

Dzierżkowi zdawało się, że mu wnętrzności wyjmują tym wzrokiem.

Nastąpiło milczenie.

— Trucizny! — szepnął Fontanus z dziwnem ust wykrzywieniem. — Tej właśnie w aptece nie znaleźć, ale wszelkie lekarstwo, źle użyte, stać się nią może. Dlatego profanom niemi rozporządzać się nie godzi.

— Ale są przecież trucizny? — zapytał Dzierżek — i ludzie ich nieraz na złe używają.

Fontanus się nieco zamyślił nad odpowiedzią.

— Pewnie, że są, — rzekł — ale są i antydota przeciw nim.

— A od was też nikt nigdy jednego lub drugiego nie żądał? — zapytał Dzierżek.

Długa, wychudzona twarz Fontanusa skrzywiła się uśmiechem, ramionami poruszył.

— Ciekawi jesteście — odparł zimno. — Sądzicież, żebym ja truciznę komu wydawał?

Dzierżek się zawałał, czuł, że jest niezręcznym i że za daleko zaszedł, ale cofnąć się było trudno, a dalej iść też niełatwo.

— Co ja wiem? — odparł. — Słyszałem tylko od tych, co we Włoszech bywali, że tam trucizny osobli-

we najlepiej przyprawiać umiejętną i one sprzedają, bo sobie rozumują: Czy to do mnie należy? jać nie zdaje? winien, kto je używa... A że więcej, niż na wagę złota się sprzedają takie ingredjencje...

— Na wagę złota? — odparł Fontanus. — A točby się je nie oplacilo wyciągać, bo lekkie są.

To mówiąc, gdy się rozmowa przeciągała, Fontanus na zegar wiszący spojrzał i rzekł, że na półzegarzu godzina późna była.

Musiał więc Dzierżek wstać, nic się nie dowiedział, ale to miał w zysku, iż sprawę swą zagaił.

Gdy drugi raz w kilka dni potem Dzierżek do apteki przyszedł, musiał zmyśleć, że na żołądek cierpiął i wywaru jakiegoś z ziół gorzkich się napić, aby swe odwiedziny usprawiedliwić. Lekarstwo zaś, że zaszkodzić nie mogło, o tem był, wedle teorji własnej, najmocniej przekonany.

Czas sobie wybrał znowu taki, aby nie zastał nikogo i mógł się rozmówić swobodnie, ale spostrzegł zaraz, że Fontanus bacznie na niego miał oko i już się czegoś domyślał. Trudno mu więc przyszło bardzo nawiązać rozmowę, ale aptekarz sam, jakby dawał do zrozumienia, że nie w ciemie jest bity, *occasione* poprzedniej rozmowy o truciznach mówić zaczął.

Dzierżek, jakby na ucynku schwytany, zmieszał się znacznie.

Fontanus tym razem, szczerze czy podstępnie otworzystszym był i rozpocząwszy o truciźnie, teorię swą wypowiedział, nie kryjąc się z nią.

— Człowiek kupcem jest — rzekł do niego. — Gdy w sukiennicach noże i brzytwy sprzedają, nie pytają kupujących, co czynić z niemi będą i czy komu nie poderżną gardła. Tak samo z trucizną, o której wiedzieć trudno, czy nią psa, czy człowieka zgładzić kto ma...

Poruszył ramionami.

— Ale się to mało kiedy trafiać musi, aby jej od was żądano? — zapytał Dzierżek.

Fontanus wpatrzył się w niego bacznie, pomilczał trochę, podumiał, a potem rzekł:

— Mów to mi jasno, czego ty chcesz... bo drugi dzień objeżdżasz mnie, jak zwierzę w knie, nie śmiejąc rzec, o co ci chodzi? Chcesz ty trucizny? Tyś nie do niej człowiek!

I rozśmiał się.

— Ja? uchowaj Boże — odparł Dzierżek — nie potrzebuję jej, alem ciekawy, gdyby potrzeba było, czybym jej mógł dostać.

— Za pieniądze? — odparł cicho Fontanus. — Stary już jesteście dosyć, aby wiedzieć, że za pieniądze wszystkiego dostanie, i tego, co żywi i tego, co morzy. Trucizna jedna drugiej nierówna, masz to znać, bo są takie, co jak piorun ubijają. Za nieboszczyka króla Zygmunta, nim stąd królowa Bona precz do Baru odjechała, nikt od trucizny bezpiecznym nie był, — teraz nikt o tem nie myśli.

Dzierżek słuchał z uwagą.

— Więc — skonkludował, — gdyby potrzeba była...

Fontanus z za stołu, za którym stał, począł wychodzić, i nie patrząc na Dzierżka, piosenkę jakąś nucił pod nosem, której wyrazy luźne odawały się oznaczać, że u niego w kramie wszystkiego dostanie. Nie odpowiedział więcej nic.

Z tem też Dzierżek powrócił do rotmistrza i doniósł mu, że aptekarz nawet niebardzo się z tem taił, iż truciznami frymarchył.

— Dobrze i to wiedzieć! — mruknął Mroczek.

VIII.

Na Franciszkańskiej ulicy w domu Zborowskich, choć całe miasto żywiej się, niż kiedy poruszało, tej wiosny tak było pusto i cicho, jak nigdy.

Kasztelan gnieźnieński, choć tu zajeżdżać miał prawo, nigdy gospodą nie stawał, bo z braćmi, choć się kochali, nie jedno myślał, a ani on ich, ani oni jego nawracać nie kusili się nadaremnie.

Andrzej tylko i Krzysztof, rzadki gość, domostwo

zajmowali podczas, gdy w Krakowie bywali, a niekiedy siostrzany ich, lub siostrzenice, bo familja liczna była i rozrodzona, więc Stadniccy, Włodkowie, Ossolińscy i Chodkiewicze.

Już w pierwszych dniach maja, choć wesele hetmana miało dopiero w czerwcu nastąpić, poruszało się w Krakowie i gotowało wszystko na festyny niebywałe, jak ich miasto dawno, dawno, bo od pierwszego małżeństwa Zygmunta Augusta, nie widziało.

Choćby Zamojski nie był się na królewski przepych dla synowicy króla, którą miał poślubić, zmagał może, ale król chciał okazałości dla pani młodej i dla Węgrów swych, a szlachta i urzędnicy polscy pragnęli pokazać obcym, że u nich i było z czego i było z czem wystąpić.

Wielu z panów, z Niemiec i z Włoch nie wahali się sprowadzać kuchmistrzów kosztem wielkim, aby tak wystąpić, iżby się ludzie dziwić musieli. Zawczasu już mirabilja oznajmywano... Ale im z jednej strony świetniej się zapowiadały gody, tem z drugiej nieprzyjaciele króla i hetmana okrutniejszą zazdrością i gniewem pałali, szczególnie przeciwko Zamojskiemu, iż się śmiał do majestatu przybliżać i kumać z nim, przez co wyrastał ponad bracią, a jak tytuły nienawistne były równości szlacheckiej, tak i wszelkie wywyższenie i odznaczenie, krom senatorskiego dostojeństwa, burze wzniecało.

Nie był Zamojski przeciwny temu, ażeby zazdrości i złości zamknąć usta i niechęci złagodzić; jego przyjaciele zbliżali się do niechętnych i obiecywali im łaski królewskie dla przejednania — ale im więcej starano się godzić i głaskać, tem właśnie sierdzili się mocniej niechętni.

Pomiędzy nimi rej wodzili Zborowscy, krom Jana, który, trochę na uboczu się trzymając, ani około króla nie zabiegał zbytnio, ani się do braci garnął. Rachował jednak na niego hetman i król, acz z pewnym niedowierzaniem spoglądając.

Dom panów Zborowskich na ulicy Franciszkań-

skiej, który już znamy, sam jeden może w mieście stać, jakby w nim nikogo nie było. Ale to czyniono umyślnie. Wiedzieli Zborowscy, że na ich każdy krok oczy są zwrócone, że im wiary nie dają, nie myśleli więc się nastręczać, a nie chcieli oczów ściągać na siebie. Ale myliby się, kiedy z tej niemej powierzchowności i pozamykanych od ulicy okiennic wnosząc, sądził, iż w domostwie niema nikogo. Tak się tu żywo obracano, jak i gdzie indziej, tylko nie chciano, aby o tem świat wiedział.

Nie było dnia, aby jakiś poseł ze Zborowa lub z innych rezydencji panów braci nie zajechał, języka nie dostał, lub rozkazu nie przyniósł, ale się to w ciszy i kącie odbywało.

Podezaszy czynniejszym był, niż kiedykolwiek, a o Samuelu po powrocie z Niżu różnie rozpowiadało. Nigdy on spokojnie usiedzieć nie mógł. Tu mu jednak do Krakowa jechać i pokazywać się powszechnie odradzano, a i on sam się wahał. Niejeden raz go już przestrzeżono, że hetman się odgrażał banicję przypomnieć.

Z własnej historji wiedzieli Zborowscy, że banitę ubić nawet bezkarnie było wolno, bo ojciec ich, Marcin, tak nieszczęśliwego męża Halszki z Ostroga, kniazia Sanguszkę, ścigał i zabił.

Krzysztof też, choć na sobie nie miał żadnego dekretu, od czasu, gdy o nim wzmiankę w papierach świętego Ościka znaleziono, nie czuł się całkiem bezpiecznym i nierad ukazywał. Jeden tylko Andrzej nie lękał się, bo na sobie jawnego nic nie miał, choć w sobie tak był, jak bracia, dla króla i Zamojskiego usposowany.

Od powrotu Samuela z Niżu marszałek i podczaszy nie widzieli się z sobą; pierwszy z nich w początkach maja do Krakowa przybył, ale się prawie nie ukazywał. Wieczorami tylko do swoich przyjaciół chodził i z ludźmi się widywał. W mieście o nim tak jak nie wiedziano.

Zdziwił się więc pan Andrzej, gdy jednego wieczo-

ra od Zbarażskich, żony swej krewnych, powróciwszy, w domu przy Franciszkańskiej ulicy, zamiast ścian niemych, brata Krzychnika zastał.

Chociaż między rodzeństwem miłości szczególnej nie było, jednakże wszyscy oni mieli rodzaj przywiązania do siebie i radzi się zawsze widywali. Krzychnik nawet z gorącością wielką pana marszałka uścisnął.

— Gdzieś ty bywał i co się z tobą działo? — zawołał Andrzej. — Znikasz wszystkim z oczu i kryjesz się nadto z sobą, dlatego cię też może posądzają o knowania.

Podczaszy się rozśmiał, powtarzając:

— Posądzają! Mają słuszność, bo ja knowam, a to mnie tylko boli, że dotąd naprzóźno... Na Samuelam rachował, iż go teraz ujmę w ręce i nim pokieruję, ale jeszcze się nie wyburzył!

— Widziałeś go? — spytał marszałek.

— Nie raz i nie dwa — rzekł Krzychnik. — Umysłniem do niego jechał, z nim wędrował, bo on na miejscu nie utrwa. Myślalem, że go sobie pozyskam... ale mi się ladaco z rąk wymyka...

Siedli sam na sam bracia i tu już tajemnic dla siebie nie mieli.

— Wiem, że teraz z okazji wesela — rzekł Krzysztof — cośbym dla siebie wytargował, zapredawszy się im duszą i ciałem, ale nie chcę...

I dodał nagle:

— Truciznę królowi zadać, gdyby było można, nie od rzeczyby było. Włosi powiadają, że ze zwierzem jego jad ginie, ale nam łatwiej się uporać z kanclerzem, a i na tegośmy z Samuelem dekret wydali.

— Co? Czasu wesela? — zapytał Andrzej.

— Ba! gdyby i tak nawet zręczność się nadarzyła, my się nie zawahamy.

— Wy? — podchwycił marszałek.

— To jest... ja radą i głową, a Samuel ręką — odpowiedział Krzychnik. — Nie sądę jednak, aby czasu wesela nam się to powieść mogło, hetman jest otoczony, strzeżony, ludzi swoich i obcych za gęsto, ale

dziś, czy jutro go to nie minie... Właśnie mu się damy ubezpieczyć cicho siedząc, a Samuel znaku życia dawać nie będzie, aby go tem pewniej w danej godzinie wziąć.

Wtem Krzychnik ręce załamał.

— Ale Samuel! — dodał — im bliżej się go zna i więcej z nim żyje, tem jawniejsza, że to człek nieokielznany, i że nigdy dziś nie można powiedzieć, co jutro pocznie. Kocha i nienawidzi pod humor... i zabija też, gdy się najmniej tego spodziewać. Na utemperowanie się tego człowieka nic już liczyć nie można.

Sądziłem, że od Kozaków powróci, wiele biedy zżywszy, rozumniejszym! Gdzie zaś! Zuchwalszym się stał jeszcze. Sądziłem, że po zabójstwie Trepki, po zabójstwie Kalinowskiego, którego żona dotąd przeciwko niemu instygował, po onej głośnej awanturze z dominikany, za którą go wyklinano, naostatek po onym Candianie, który go w druku osmarował, poskromi się. Gdzie tam! Im głośniejsze jego sprawy, tem on temu więcej rad...

Andrzej przerwał:

— Mówisz o tych sprawach pana Samuela, o których i ja słyszałem, alem ja tak prawie nieświadom ich, a wielu nie wierzę. Nie sąż to potwarze?

— To go nie znasz! — zawołał Krzychnik. — Jam go wiele praktykował! Jam na tych przygód siła oczyna własnymi patrzał, począwszy od żony. Znaleś tę dobrą, łagodną i miłą panią, bo z tego domu wyszła, co i twoja. Miłował ją Samuel do szaleństwa, trwało to do narodzin Aleksandra. Wtedy na dziecko dużo spłynęło tej miłości, a że żona chorzeć mu zaczęła, począł się za innemi oglądać.

— On bo bez podwuki nigdy żyć nie mógł — szepnął Andrzej.

— Otóż co się stało — ciągnął dalej podczaszy. — Nie jedną, ale może dziesiątek różnych na dworze chował, na co żona patrzeć musiała. A że ludzie to w panu widzieli, sami też naśladować go poczęli... więc, co się tam u nich działa, o tem rozpowiadać trudno...

Pod ten to czas dominikanów napytał, z którymi się potem tak obszedł, jako wiesz... Już od tej pory żaden tam ksiądz w domu nie postał. Biedna żona we łzach się rozplynała, z czego on sobie żartował. Rzadko w domu siedział, a przyjechał, to z gromadą na pijaństwo i swawolę, że się zamkać musiała.

Jednego razu na Wołoszczyznę jadąc, nie wiem już gdzie jakiegoś Turka i Turczynkę napytał. Tak ich zwano, ale mnie się widzi, że wcale Turkiem nie był ten człek, ale chyba Grekiem. Niewiasta się żoną jego nazywała, a była dziwnie piękną. Widziałem ją: czarne miała oczy i włosy, a ciało jak mleko, ale kobieta była prosta i grubych obyczajów...

Jak onego Turka z żoną dostał, aby ich do siebie do domu przywieźć, to jemu wiedzieć... Turek go ów rzekomy darł ze skóry, a żona też, ale mu nie mówił nic za to, że sobie z nią żył. Sypał im garściami pieniądze, darowywał srebra, kupował klejnoty. Wreszcie Turek mu żonę sprzedać się ofiarował i pono cena była umówiona, a Samuel miał ją wziąć i trzymać w drugim majątku ze dworem i okazałością, jakby żoną jego była...

Wiedziała o tem prawa żona, ale ani pytać, ani mówić nie śmiała, — byłby ją ubił... Mało też ją widywał.

Turczynka zaś, choć jej ona wcale nie zawadzała, koniecznie ją zgubić chciała, pewnie w nadziei, że się z nią ożeni. Poczęły się plotki na panią Samuelową.

Był pod ten czas na jego dworze chłopak, szlachcic, pokrewny nam z ubogich Stadnickich, którego Samuel swojego czasu bardzo lubił, ale potem pogniejszywszy się, patrzyć na niego nie chciał. Ten przez litość nad Samuelową służył jej, a że sama z dziećmi była, podczas z nią do stołu siadał. Na tego oczywiście Turczynka się nasadziła, że jest kochankiem jejmości, co jako żywo, fałszem było. Ktoś doniósł, że raz śniadając z jejmością, gdy ona masło znalazła starem i precz za okno wyrzuciła, Stadnicki to samo uczynił. Poszło tedy od tego masło.

Samuel z furją do żony wpadł, wyrzucając jej, że

się mu sprzeniewierzyła... Przerażona padła mu do nóg, na krzyżu Pańskim gotowa przysiąc, że między nimi wcale nic nie było. A no, pijanym był i wściekłym, i żonę poczawszy bić, gdy się na łóżko rzuciła, ledwie żywą odszedł. Od tej pory chorzała już, chorzała, aż zmarła...

Razem poprzysiągł, że Stadnickiego zgładzić musi, co młody Trepka słyszał. Stało się, że wkrótce potem, w istocie Stadnicki zniknął; mówiono o nim, że do rodziny powrócił, a drudzy, palce na usta kładąc, milczeli.

Trepka się gdzieś nieostrożnie wygadał, że wie, co się z nim stało... Doniesiono o tem Samuelowi, — nie dał bynajmniej poznać po sobie... W kilka dni potem na łowy się wybrał w lasy i wziął z sobą Trepkę, który więcej nie powrócił.

O tem też, co się z nim stało, nikt nie wiedział; mówiono, że go dzik rozdarł, a potem nocą wilcy poszarpali i zjadli, tak, że kości nawet po nim nie zostało.

Andrzej, słuchając, usta wykrzywił.

— Krwawe dzieje, — rzekł — ale ja im spełna wiary nie daje. Wy to wiecie najlepiej, że będzie li ktoś gwałtownikiem, złożą nań w dziesięcioro tyle, niż uczynił.

Krzychnik nic nie rzekł.

— Wszystko to nie, — dodał, pomilczawszy — ale gdy żona zmarła, dopiero dla niej czułość się wzięła taka, jaka nigdy za życia może nie bywała. U trupa krzyżem leżał, płacząc, pogrzeb sprawił królewski i zamknął się na czas jakiś, jakby melancholji dostał.

Dopiero go z niej Anusia, cóbreczka, która podobną jest do nieboszczki, a on kocha ją bardzo, pieszczotami swemi wyprowadziła. Jeszcze dziś, gdy żonę wspomni, często mu w oczach łzy się zakręcają. Taki on we wszystkim jest... Sam na siebie powiada głośno, że żonę zabił.

Do innych zabójstw się nie przyznaje, a Trepki imienia nawet wspomnieć nie wolno. Wojtaszka wiedziałeś i znasz?

— Byłci z nim w Borówce — rzekł Andrzej.

— Z tym chłopcem historja albo się smutno skończy, lub nie wiem jak, bo to żmija jest, którą on przeciw sobie żyw i pielegnuje. Skąd go wziął, co za jeden? — nie dojdzieś. Czarnoksiążnik, powiadają, w co nie wierzę, ale głosem go czaruje. Gdy mu czasem śpiewać zacznie, to się Samuel Izami zalewa, a pieniądze garściami mu sypie.

Chłopiec zaś jawnie i nie kryjąc się, nienawidzi go, pogardza nim, odgraża się, a w domu tak się nosi, jakby rodzonem dzieckiem był. Aleksandrem pomiata, Anusi dokucza podły plebejusz, zalecając się do niej jawnie.

Skarżono go nieraz Samuelowi, był go czasami, sadzał na chleb i wodę, a potem niemal o przebaczenie prosił. Rozumiejże go, jeśli mądry!

Wojtaszek się z tem nie kryje nawet, iż nim gardzi. Ludzie mi mówili, co słyszeli, jak obiecywał panu Samuelowi miecz katowski, dodając, że nań zasłużył.

— Niespełna rozumu — przerwał Andrzej. — Sądź jako chcesz, na krew składając wiele, bo my wiemy, jak się nam hamować trudno... nim rozum przestał kierować. Broniliśmy go po zabójstwie Wapowskiego, bronimy i teraz, bronić będziemy, a on nam ciężarem więcej, niż pomocą...

— Ja nie rozpaczam, że go przecież zaprzegę i orać nim będę — odparł Krzychnik. — Jedyna się zręczność nastrečza zużytkowania go przeciw Zamojskiemu.

— Wspomniałeś o Candianie, — odezwał się marszałek — co to z nim było? wiesz? Słyszę, iż książkę wydrukował wyzywającą i czerniącą.

— Jam jej nie czytał, ale są tacy, co ją mieli w ręku, bo ją biblijopole przywieźli i sprzedawali, a bodaj do dziś dnia potajemnie po trzy grosze w świat puszczają.

Sprawa z Włochem poczęła się, można powiedzieć, z niczego.

Przybywszy do Polski i tu bawiąc, Candian — włoszczaninowi, sołtysowi z majątkości Samuela, pieniądze pożyczyl, a potem po nie sam przybył. Wytoczyło się

to przed trybunał pański i Kurek długu nie zaprzeczał, ale twierdził, że zapłacić go czem nie miał.

Tymczasem Samuelowi dobrze się z Włochem było zabawiać, więc go do dworu wziął, do stołu sadzał, karwił, poił i był mu jak najlepszym. Ten go za to opowiadaniami bawił, a że Samuel rad w języku włoskim się popisywać, bardzo go miał miłym i chciał w domu zatrzymać. Tymczasem Włoch się już wyrywał, mając handel czy zajęcie, ale z Samuelem od wielkiej miłości do gniewu włos tylko...

Włoch się rwał jechać, Samuel nie chciał puszczać... a już mu twarz i oczy krewią zachodziły, co u niego znakiem, że sobą nie włada.

— Naokoło mór straszny, ludzie jak muchy padają, gdzie ty pojedziesz? poco? Siedź tu, kiedy ci dobrze.

Wpół dobrą wolą, wpół siłą strzymał Włocha, ale co on go zabawiał zrazu, to teraz Samuel, drwiąc z niego, gości swoich nim traktował. Wyśmiewano go nielitościwie, płatając nieznośne sztuki, aby Włocha do wściekłości rozdrażnić.

Samuelowy sługa, niejaki Ruski, nasadzony był na Candiana... a widząc, że mu to ujdzie bezkarnie, dojądał Włochowi szczególnie przy gościach. Gości zaś żadnego dnia nie brakło. Wreszcie Candian chodził, jak struty i gdyby nie rzeczy, które z sobą miał, pieeszoby był gotów uciekać.

Jednego dnia, gdy Ruski w czasie obiadu Włocha prześladował i słowem dotknął, uniósł się Candian i w twarz go uderzył. Wszyscy byli naówczas dobrze sobie podpili, w izbie się stał rozruch wielki, poczęli się rwać do szabel, i byłoby przyszło do krwi rozlewu, gdyby obcy ludzie nie wdali się i napozór ich nie pogodzili. Od tej pory jednak Samuel puścić nie chcąc Włocha, na wszelki sposób znęcał się nad nim.

Był naówczas u Samka stary niedźwiedź, który wolno po dziedzińcu się przechadzał i miał budę swoją, a czasem za igraszkę i postrach służył. Przyszło do tego, że raz Candiana wziąć kazał, obnażyć, miodem

osmarować i puścić na niego niedźwiedzia, wprzody przez psy rozdrażnionego.

Jakim sposobem Włoszysko z tego wyszło podrapane, ale z życiem, przydusiwszy starego niedźwiedzia, nie wiem. Natychmiast, więc po takim traktamencie chciał polecz jechać, ale mu z wozu kola pozdejmowano, rzeczy zamknięto, potem jego samego wsadzono do lochu, z którego nierychło się wydobyć potrafił.

Candian go w tem piśmie wyzwał na rękę, na sąd Boży do walki, ale Samuel śmiał się i po dziś dzień się na tem skończyło... Mało ci tego?

Andrzej podniósł oczy w góre.

— Jakże ty chcesz pokierować takim człowiekiem? — zapytał.

— Najłatwiej, gdy go tam poprowadzę, gdzie on sam rad iść będzie — rzekł podezaszy. — Nienawidzi Zamojskiego...

— Tak, — odparł marszałek — ale przebiegłości i pomiarkowania potrzeba, aby się z nim spotkać i to tak, aby kanclerz przeważnej siły przy sobie nie miał, a napaści się nie spodziewał. Samuel ani czasu, ani miejsca wybierać nie potrafi, rzuci się po szalonemu i zginie.

— A jam od czego? — zawołał Krzychnik. — Wszystko mu zgotować potrzeba i dać — tylko rąbl Naowczas żadna mu się siła nie oprze.

— Wolalbym wszelką inną imprezę, — przerwał nagle Andrzej — niż taką, do której Samko potrzebny. Najlepiej przygotowane popsuć potrafi.

Potrzaskał głową pan Krzysztof.

— Ledwien go zaklęciem wielkim od tego odwiódł, aby na wesele do Krakowa nie jechał, bom się go tu obawiał.

— Gotówby go kanclerz kazać ujać, bo o nas dobrze wie, jak mu życzymy, a jego dobrze zna...

Wstał marszałek.

— Dobrze mówisz, Krzychnik, że nas zna... Wiem to od Jana, iż przemawiał za nami, prosząc... Mnie na

tem marszałkostwie trzymają na śmiech, gdy mi się dawno co innego należy.

— Ze mną gorzej, bo mnie wcale znać nie chcą — zawałał Krzysztof.

— Za slugę Rakuszanina, jeżeli nie za cara, teraz cię mają — dodał marszałek.

— Myślę, że za ostatniego chyba — rzekł Krzychnik — ale mi obojętne oboje. Ja już nic z nimi nie spodziewam się dokazać, więc pozbyć się ich to jedyna myśl moja, a przedewszystkiem Zamojskiego, bo ten tu osią, na której się ich roboty obracają.

— Teraz mu, jak królewianku, buta urośnie! — wtrącił Andrzej i począł z innej beczki.

— Krakowaście nie widzieli teraz — dodał. — Za wczasu się już gotują na obrzęd taki, aby o nim ludzie pamiętały. Krocie to kosztować będzie, gdy na wojnę pieniędzy niema. Batorówna jeszcze w tym miesiącu od granicy przybywa w orszaku znaczny; naprzeciwko niej Andrzej Opaliński wyjeżdża.

Ze Szpiglerowej kamienicy królestwo ichmość na owe sztuki, które się na rynku odbywać mają, patrzyć będą. Siła szlachty do turniejów stanie, a cudzoziemców i ciekawego tłumu Kraków chyba nie pomieści. Zaleją nas.

— Toćby dla rozumnego człeka najlepsza pora była coś przedsięwziąć, — rzekł Krzychnik — bo djabla zjadzą, jeśli się upilnują i wszystkich znać będą. Ani król, ani hetman niebezpieczeństwa żadnego przeczuwając nie będą.

Andrzej obejrzał się z przestrachem i dał mu znak, aby milczał; podczaszy go usłuchał.

— Nie teraz, to później puszczę na niego Samka, jak Samko puszczał niedźwiedzia na tego Włocha.

Zaczem zamilkli obaj, bo służba wieczerzę przyniosła, a z nią razem miejskie plotki, na które szczególnie podczaszy był łakomym.

Opowiadano, co się na zamku, co po mieście działo, i jak wszyscy, od biskupa poczawszy, dwory, służbę,

czeladź, wozy i konie na nowo stroili, złocili, odświeżali, aby się nimi popisali...

Starszym ludziom wszysko to mocno wesele Zygmunta Augusta z pierwszą jego żoną, o którym dotąd pamiętano w Krakowie, przypominało. Na wszystkich ustach było to porównanie, które w nieprzyjaciolach Zamojskiego do najwyższego stopnia rozjaźdrzenie budziło.

Ciekawy, niespokojny, potrzebujący ciągle jakiegoś zajęcia, które wszakże całe się na rzecznie rzucanych słowach, zagrzewaniach i podbudzaniu drugich ograniczało, pan Krzysztof nigdzie się nie ukazując prawie, pozostał w Krakowie. Wiedział on, że hetmanowi i królowi na nieprzyjaciolach nie zbywało, chodził więc i sznurkował, azali co przedsiębrać nie myśleli.

Pan Andrzej przeciwnie, choć się na występ żaden przy weselu nie gotował, jawnie po Krakowie chodził, ukazywał się i chciał przez to dowieść, że nic zlego nie zamierzał, ani się obawiał o siebie i ukrywać myślał.

Marszałek i na zamek i do królowej chadzał, choć nigdzie miru wielkiego nie miał; wystrzegano go się i niedowierzano. Choć więc przy królowej Annie było wielu, co do króla i Zamojskiego za nią żał mieli, nikt z panem Andrzejem nie chciał się wiązać, ani mu się z tem wydawać.

Krzysztof się we dni tak jak nie pokazywał wcale i urzędownie z bytnością swą w mieście nie występował. Do tych, z którymi znajomym był dawniej, wieczorami chodził lub w takich godzinach, aby się u nich nie spotykał z innymi. Wymykał się z Franciszkańskiej ulicy o mroku, niepostrzeżony, albo sam lub z jednym slugą po mieście błądził.

Ale miał tu swoich, co mu do domu przynosili wiadomości i cokolwiek po mieście chodziło. Szły stąd od niego mnogie listy do Samuela, które na to były przeznaczone, aby upokorzenie familji okazywały i do zemsty pobudzały. Znał podczaszy brata, iż jak płomienny ogień gorzał prędko i gwałtownie, ale krótko,

więc i nienawiść do hetmana potrzeba było podsycać nieustannie, aby nie zgasła.

Miał w tem pomoc pan Krzysztof wielką w siostrzenicy, ulubionej pana Samuela, Włodkowej, tuż pod Krakowem w Piekarach mieszkającej, która z gorączką niewieścią podzielała wszystkie ich uczucia i myśli.

Różnie tam o tej wielkiej przyjaźni pana Samuela dla onej siostrzenicy mówiono, posądzając jego i ją, bo się jejmość młoda, przystojna, żywa, ruchawa, czynna, wcale nie ukrywała, że wuja, jako bohatera, wielbiła i równego drugiego mu nie знаła na świecie.

Gdzie pan Andrzej i Krzychnik sami się obawiali iść, mówić, a działać, tam posyłali Włodkową, która gotowa była na wszystko dla ukochanego Samuela. Aż nadto może daleko posuwała się jejmość, bo jej dom jawnem był zbiegowiskiem nieprzyjaciół hetmana i króla, i stąd na nich wszystkie baśnie i potwarze płynęły... tu się zbierali spiskujący...

Krzysztof, nie mający nic do stracenia, niemal codziennie do Piekar jeździł i tam woził, co pochwycił na bruku, a nawzajem dostawał języka o Samuelu, który i wrzekomo i na oko, aby ludzi zwieść (choć nikt w to nie wierzył) do Włoch się wybierał, skąd już wcale powracać nie miał, jeżeliby się w Polsce rzeczy nie zmieniły.

Rozgłaszał to pan Krzysztof ostentacyjnie, aby pokryć przygotowania, które ciągle czyniono, nawet czasu tych weselnych przyborów. W Krakowie jednak przekonał się rychło podczaszy, że na teraz nic ani myśleć można było, ani przedsiębrać.

Szczęście pana hetmana, powodzenie królewskie w sprawie z Moskwą, w której po raz pierwszy oddawaną Batory silniejszym się okazał i groźnym, jak z jednej strony nieprzyjaciół budziło, tak z drugiej wielu nawracało, bo widzieli, że bezsilne ich pokuszenia przeciwko rozumowi i szczęściu Zamojskiego nic nie zdołają.

Drażniło go to niepomiernie, iż u wielu z tych, co dawniej na wilczezęby wykrzykiwali i odgrążali się,

a „*Nigrum Concilium*” Zamojskiego w błocie tarzali — teraz z pohamowaniem o jednym, z przestrachem o drugim, z ostrożnością wielką o nich obu się odzywali.

Na pomoceków czynnych widział, iż mało mógł rachować, samym im z Samuelem o sobie myśleć było potrzeba...

Brata tego na hyż wystawić i popchnąć bynajmniej się nie wahał podczaszy, miał go bowiem za straconego i tak, a chciał zużytkować, siebie o ile możliwości oszczędzając.

Słał więc listy przez Włodkową, ogień podkładając ciągle, a choć na teraz nic jeszcze przedsiębrać nie było można, — po weselu znajdował chwilę bardzo dogodną, bo hetman się musiał ubezpieczyć i mniej być ostrożnym po tylu dowodach, że miał przyjaciół licznych w całej Rzeczypospolitej.

Tak stali rzeczy w domu przy Franciszkańskiej ulicy, gdy jednego wieczora, bólu zębów napytawszy przy wiosennej wilgoci, podczaszy zaszedł do Fontanusa, lekarstwa nań szukać.

IX.

Gdy Fontanus jeszcze króbkę na plecach z olejkami nosząc, to po ziemi krakowskiej, to po Rusi, to po miastach się błakał, wietrząc, gdzieby mu się osiedlić było najkorzystniej i najłatwiej, zaszedł raz i do Zborowa.

Gościł tam natenczas i Samuel, był i Krzysztof. Niemiec im zrazu służył za zabawkę, bo radzi się każdym nowym człowiekiem zabawiali. Zachorzał jeden z nich, a nim fizyka z Krakowa sprowadzono, Fontanus się ofiarował z febry tej uleczyć, co mu się w istocie udało. Wpadł więc w łaski, a później, gdy w Krakowie osiadł, Zborowscy o nim nie zapominali, ani on o nich.

Starał się osiedlony już tu Fontanus, aby przy królu miejsce aptekarza pozyskać, ale Zamojski nastreczył Włocha, niejakiego Arycho Caborto, który go

ubiegł, czego Fontanus zapomnieć i przebaczyć nie mógł.

Przyczyniło się do niechęci i to, że Włoch, który więcej może umiał, Fontanusa za nieurka i szalbierza ogłaszał, utrzymując, że wodę zafarbowaną zamiast eliksirów, a prostą glinkę miasto bolusów sprzedaje.

Ostrożny bardzo Fontanus nigdy się żadnym słowkiem nie wydał z tem, co w sobie nosił, ale przeciw królowi i Zamojskiemu żal miał wielki... To uczucie zbliżało go do Zborowskich.

Spostrzegłszy pana Krzysztofa, którego zdawna nie widział, ucieszył się tem otwarciem aptekarz, iż nikogo świadkiem nie miał. Natychmiast więc zęby podczasze mu opatrzywszy i plókanie dla niego przygotowując, począł z nim poufną rozmowę.

Krzysztof wiedział, iż się go wystrzegać nie potrzebuje.

— A co? — rzekł, siadając około stołu, na którym Fontanus lekarstwo gotował — a co? Zborowscy tedy doczekali tego, że nic w Rzeczypospolitej nie znaczą! Poszliśmy na dno...

Fontanus spojrzał z za okularów.

— Mnie się zda, — rzekł — że wy jeszcze zwycięsko na wierzch wyplyniecie...

— Trudno — odparł podczaszy.

— Boję się was, — szepnął aptekarz — to najlepszy dowód, że silę macie. Człowiek słucha różnych gadanin, chwyta różne wieści, bo ja tu siedzę, jak na rozzstaju, kiedy wielu przejeżdża, a powiem wam, że was wecale jeszcze nie lekceważą...

— Skądże wniosek? — spytał podczaszy.

Fontanus chciał się przypochlebić Zborowskiemu i nie wahał się baśni swego własnego utworu podać na stół. Przyszło mu na myśl, że się Dzierżek o truciznę dowiadywiał. Z tego łatwo było coś stworzyć.

— Miejcie się na baczności — dodał. — Samuela i was, gdy inaczej nie będą mogli, nie omieszkają zgłosić wszelkim sposobem, choćby trucizną. Pana Sa-

muela, choć gwałtowny jest, może się nie tyle lękają, co was. Wiedzą, że głowa i rozum rodziny to wy...

Panu Krzysztofowi oczy się zaiskrzyły. Pochlebiało mu to z jednej strony, z drugiej niepokój ogarnął, bo o swoje życie i bezpieczeństwo bardzo był troskliwy.

— Fontanus! — zawałał, przysuwając się — wy coś wiecie... Mów mi otwarcie. Szczęście, że mnie tu ból zęba sprowadził, inaczejbym o niczem nie wiedział.

Zmiarkował aptekarz, iż nazbyt pewno twierdzić o rzeczy pochwyconej niewiedzieć skąd niebezpiecznym było i chciał się nieco wycofać.

— Nic ja nie wiem, — rzekł — przede mną z niczymby się nie zwierzyli, ale się dużo domyślać można z oznak pewnych...

— Zatem praw mi, czego i na jakim fundamencie się domyślasz? — począł podczaszy. — Począłeś, to kończ... ja cię już nie puszczę, aż się dowiem, co są dzisiaj...

Fontanus, choć w oficynie nikogo nie było, wysunął się z za stołu, zajrzał do drugiej izby, chłopca stamtąd do alembików wyprawił i dopiero powróciwszy mówić zaczął:

— Jak się wam zda, panie podczaszy, ma kanclerz większego i jawniejszego w tej Rzeczypospolitej nie przyjaciela nad Zborowskich?

Zadumał się nieco Krzysztof.

— Nieprzyjaciół ma wielu, — rzekł — ale my na oku i na wierzchu.

— No i co Zborowscy znaczą, to świat wie... z nimi się nikt nie może mierzyć — mówił dalej Fontanus. — Więc kiedy Zamojski się trucizną chce kogoś pozbywać ze świata, to pewnie nie kogo innego, jak podczaszego albo Samuela.

Krzysztof, który wcale mężnym nie był i zdradę wszędzie wietrzył, a obawiał się wszystkiego, poskoczył z siedzenia, a krew mu uderzyła do głowy. Nie mógł zrazu mówić, tak go to do głębi poruszyło. W garde mu zaschło, jak gdyby już ową truciznę wspomnianą połykał.

— Skądże wiesz, co kanclerz zamierza? — wybełkotał niewyraźnie. — Mów mi wszystko jasno i otwarcie. Jeżeli tobie ta myśl przyjść mogła, pewno nie nadaremnie.

Fontanus mieszał właśnie dwa jakieś płyny bardzo gwałtownie i to mu posłużyło do zwleczenia odpowiedzi, nad którą się namyśleć musiał. Podczaszy, cały drżący z niepokoju i niecierpliwości, przechylił się aż przez stół ku niemu, jakby mu z ust chciał wyrwać odpowiedź.

— Mówże! mów! — nalegał.

— Przychodził tu do mnie ktoś, — szepnął Fontanus — którego znam, że ciałem i duszą do kanclerskich sług należy, dowiadując się ostrożnie o truciznę... Zaraz więc pomyślałem sobie, że ona dla nikogo innego, jak dla was, przeznaczoną być nie mogła?

— Daleś mu ją? — wykrzyknął przerażony podczaszy. — Tyś dla pieniędzy gotów na wszystko!

Uśmiechnął się szydersko aptekarz.

— Powoli! — rzekł — powoli! Za pieniądze wszystko w świecie dostać można, a nie wiem, czyby lepiej było, ażeby gdy u mnie jej nie dostanie, kupił gdzie indziej? Tamby mu prawdziwej dać mogli, gdy ja za truciznę dam taką rzecz, która nikomu nie zaszkodzi!

Spojrzał zwycięsko na podczaszego, który stał oniemialy. Czas jakiś oba milczeli.

Pan Krzysztof, pomimo takiego obrotu rzeczy, który zdawał się go ubezpieczać, wcale uspokojonym się nie okazywał. Targał bródkę i wąsy, spoglądał na Fontanusa, który, przelewając lekarstwo do flaszki, mówił dalej:

— Proszę was, baccie na to, że naprzód ja pewności żadnej nie mam, ażeby ta trucizna dla was przeznaczoną była, choć zdaje mi się, że ona komu innemu pewno nie gotuje się, ino wam... powtórę, bądźcie pewni, że ode mnie oni nie dostaną na wagę złota nic innego, chyba Electuarium niewinne. W tem ich oszućkać nie będę miał na sumieniu, a gdyby mi to wyrzu-

ać potem mieli, — alboż niema antydotów? a przeciw tym ja nic nie mogę.

Zamyślił się ponuro podczaszy.

— Któryż to sługa kanclerza? — zapytał.

— Człek mały, — odparł lekceważąco Fontanus — ale on posługuje panu Mroczkowi, rotmistrzowi, który u kanclerza wiele waży i znaczy. Że z namowy jego to uczynił, to pewna.

— A dla mnie też i to pewna, — dodał żywo podczaszy — że nie dla kogo innego trutkę tę zgotowali, tylko dla mnie. Przeciwko Samuelowi oni inny oręz mają, a nieprzyjaciół nad nas większych nie widzę.

Zlitujże się Fontanus, jakoś powiedział, uczyń. Myśl twoja dobra i poczciwa. Truciznę sprzedać należy, aby jej gdzie indziej nie szukali, ja zaś ostrożnym będę na wszelki przypadek.

— A jeśli się po nią nie zgłoszą? — spytał Fontanus.

Podczaszy się zamyślił, pot mu powoli występował na czoło.

— Zalałeś mi sadła za skórę! — zawałał, padając na krzesło. — Już się teraz niepokojowi o życie obronić nie będę mógł i gotówem im z oczów zjechać do cesarza, bo tam przynajmniej od trucizny ich będę bezpiecznym. Ale tu Samuela zostawić samego, bez porady i kierunku, znaczy i jego, i naszą sprawę narazić na zgubę. Porwie się niezręcznie i odda im w ręce... Ja nad nim czuwać muszę, a bez niego...

Nie było potem końca pytaniom i badaniom pana Krzysztofa, który, zamiast powziąć wątpliwość co do opowieści aptekarza, coraz się mocniej w tem utwierał, iż nie dla kogo innego przeznaczono truciznę, tylko dla niego.

Rozmowa ta przeciągnęła się bardzo długo, tak że gdy podczaszy powrócił do domu na Franciszkańskiej ulicy, zastał już marszałka w łóżku, w głębokim śnie pogrążonego.

Nie chciał jednak czekać jutra z oznajmieniem mu,

co przynosił, i kazał go zbudzić wyrostkowi, który spał w progu.

Zamiast wszakże wiernie powtórzyć bratu, co po słyszał od Fontanusa i co się bardzo wątpliwem przedstawiało, wcale inaczej rzecz malował, niemal pewnie przedstawiając truciznę, jako dla siebie przeznaczoną, i wielkie niebezpieczeństwo, na jakie był narażony.

Andrzej znał brata, a rzeczy tak gorąco nie brał do serca. Zawiązał się więc spór pomiędzy nimi, który trwał niemal do rana.

Nazajutrz najpilniejszem się zdało podczaszemu wybrać z tem do Piekar, do Włodkowej, choć Andrzej odradzał, aby na babskie języki plotka nie poszła i przedwcześnie się nie rozglosiła.

Panu Krzysztofowi jednak niepodobna było podróży tej odradzić. Uparł się przy swojem i już chciał siedać na wóz, gdy niespodzianie ukazały się w ulicy dobrze znane kare woźniki pana gnieźnieńskiego i zwykły jego tabor podróżny. Gdy ten przybywał, wypadało zaniechać jazdy, a z nim, jako ze starszym, się nadzisić.

Choć to może nie na rękę było podczaszemu, który ze starszym bratem wcale się nie godził, bo nigdy go do swych posług, tak jako chciał, zaprząc nie mógł, kazał koniom swoim wrócić do stajni.

Wyszli oba z marszałkiem naprzeciw starszemu z rewerencją i wprowadzili go do dworu.

Jan dosyć jasnego oblicza, wcale się tak, jak oni, frasobliwym nie okazywał, owszem, wesoło zagadnął ich i kazał się ludziom rozgaszczać, oznajmując braciom, iż przybył umyślnie, aby mówić z kanclerzem.

Tedy Krzysztof zakrzyknął:

— Z tym już mówić niema co! Obrusy między nami rozerznięte na wieki!

Gnieźnieński ramionami ruszył.

— Cóż nowego?

Krzychnik, który już ledwie utrzymać się mógł, gorąco sprawę trucizny zagaił, a Jan jej z namarszczonem czołem słuchał. W czasie opowiadania najmniej-

szej nie dał oznaki ani zdziwienia, ani oburzenia, raczej niedowierzania.

Im Krzychnik gwałtowniej nastawał i dowodził, tem on zimniej badał, pytania zadawał i przekonywał, że z muchy zrobiono wielbłąda i głupią mowę małego człowieka na ramiona kanclerzowi narzucono.

Podezaszy, który w to, co mówił, wierzył święcie, podrażniony był i gniewny, lecz z panem gnieźnieńskim nie szło tak łatwo, jak z marszałkiem. Zganił porwywość i nakazał milczenie.

— Ani się waż tego w świat puszczać, co głupota i złość ludzka wymyśliły, bo mnie mieć będziesz przeciwko sobie. Właśnieby mi to wszystkie moje zabiegi dla dobra waszego pokrzyżowało. Darmo tu nie przyjechalem, wiem, że kanclerz jest, widzieć się z nim będę. Chcę dla was i dla Samuela *occasione* wesela coś uzyskać i do zgody doprowadzić.

Nie przystało nam, Zborowskim, stać naprzeciwko temu, który Rzeczpospolitą włada i zwycięsko ją broni, a przeciwko temu, który wkrótce jego synowcem się stanie. Na buncie i spiskach nie wygramy nic. Wiem, że kanclerz pod ten czas łagodniejszego jest usposobienia. Chcę z tego korzystać.

— Co do mnie — odezwał się Krzychnik — nie wierzę w to, aby mnie nawet *ad audiendum verbum* j. k. mości dopuścili. A no, chcecie, próbujcie. Ja się też lada łachmanem nie dam zbyć.

— A wszystko to — dodał — marne psowanie czasu. Kanclerz was gładkimi słowy uchodzi, a z nami postąpi zdradziecko... W zgodę między wilkiem a owcami ja nie wierzę. Oni krwi naszej pragną i nie zaspokoją się, aż się jej napią.

Pogniewał się pan gnieźnieński i naganiał gadanie, jednakże skutkiem perswazji jego Krzychnik nieco się dał ukołysać i obiecał czekać.

Zaraz po południu posłał Jan na zamek, u kanclerza o audjencję osobną prosić, a tę mu nazajutrz wyznaczono.

Jechał tedy skromnie, jak zwykle, z małym dwó-

rem. Zaraz w sieniach powitał go Heidenstein uprzejmie i do pana wprowadził.

Zamojskiego znalazł jakby odmłodzonym, w usposobieniu ducha bardzo łagodnym i uprzejmem. Zwycięzce Gdańskan powitał serdecznie i cieszył się, że go ogląda, a o sprawach wojennych mowę zagałał.

Postrzegł jednak łatwo hetman, że Zborowski roztargniony myślami był gdzie indziej i dorozumiewając się, że go tu może co innego sprowadziło, rozmowę na tor ogólnych spraw wprowadził.

Kasztelan, korzystając z tego, zaraz sprawę rodzinny swej na stół wyprowadził, ukazując, że braci jego niesłusznie posądzono i odsuwano od wszystkiego, że łacno ich król trochę dobroci mógł sobie pozyskać, a oniby mu się przydali.

Bronił szczególnie marszałka, iż zupełnie zaniedbany był, choć chętnie służyć gotowy; uniewinniał Krzysztofa, iż go o zdrady, o zmowy jakieś pomawiali nieprzyjaciele, naostatek i za Samuelem prosił, aby z niego banicję zdjęto, bo jak w ukropie był kąpany, tak czasu wojny żołnierzem być mógł nieocenionym.

Kanclerz wogóle nie okazał się niechętnym, owszem, z pewnym rozrzewnieniem rzekł:

— Wierzaj mi, panie kasztelanie, jam dziś nad zasługi szczęśliwy, więc i drugimbym, gdyby było w mej mocy, nieba rad przychylił. Wierzaj mi, że uczynię, co w mojej mocy.

Co się tyczy pana marszałka, ja mu u króla posłuchanie wyrobię. Wiem, że jurgieltu sobie życzy i że król na moją prośbę wyznaczy mu go, ale skarb nasz chudy jest, szafować niema czem, a wojna za pasem. Króla pomawiają o skąpstwo; nie jest on skąpy, lecz nawykł do małego, a u nas też na wielkie nie trafił. Zda mi się wszakże, iż dla pana Andrzeja coś uczynić potrafimy. Dobierzemy chwilę dobrą... jam z serca pomóc gotów.

Daleko trudniej będzie z panem Krzysztofem, przeciwko któremu wielkie są oznaki jego niechęci. Sprzyja on cesarzowi, pisze się wszędzy „radą cesarską“, nie

kryje z tem, że króla nie lubi... król mu też płaci tąż monetą i trudno, aby w nawrócenie nagle mógł uwierzyć. Pomimo to ja i podczaszemu posłuchanie wyrobię, niech się tłumaczy a okaże, iż jest niewinnie oszkalowany. Zgody i pokoju w tej Rzeczypospolitej nam nadewszystko potrzeba, abyśmy siły wspólnemi ją, wycieńczoną i zboląłą, podzwignęli.

Samuel niepotrzebnie na Niż się puszczał, jakby coś przeciw króla zamierzał. Król tem był rozjastrzony, ale nie stało się nic, powrócił, niechże spokojnie siedzi, a postaramy się, aby z niego zmyć ten dekret... Że w tem siła trudności będzie, przewiduję, bo niejednego pana Wapowskiego ma na sumieniu, dosyć innych mężów i kobiet skarży się na jego gwałty. Nie może się uśmierzyć, choć wiekby był po temu...

Ja mu, dopóki banicja zniesioną nie będzie, nie życzę się pokazywać w mojej jurysdykcji, bobym rygoru zażyć nie chciał, a musiałbym spełnić moją powinność. Przeciw dekretem Henrykowemu niech się stara, ja pomogę, ale musi siedzieć spokojnie, a chce li dokazywać, niech na kresy rusza, gdzie wojna nierychło się skończy.

Znalazłszy kanclerza tak życzliwie usposobionym, niezmiernie się uradował pan gnieźnieński. Ze łzami w oczach począł mówić o rodzinie, która w Rzeczypospolitej liczyła się do pierwszych, a dziś na dawnem stanowisku utrzymać się nie mogła. Biadał i narzekał, przyczem go kanclerz pocieszał tem, że wiele familij podnosiło się, rosło, ubożało i potem do dawnej przychodziło świetności.

Tak z pół albo więcej godziny pogwarzywszy, gdy ks. biskupa krakowskiego oznajmiono, że przybywał, kasztelan pożegnał kanclerza i wyszedł.

Jechał do braci z jak najlepszą myślą, z czołem wypogodzonem, a wszedł, nucąc wesoło.

Oba na niego oczekiwali. Zdał im sprawę z poselstwa, ale obu było za mało tego, co przyniósł. Ponieważ Zamojski tylko posłuchanie u króla wyrobić się obiecywał i ich własne żądanie popierać, ani marszalek,

ani podczaszy nie czuli się w obowiązku iść mu po-dziękować.

— Zaczekamy skutku, — odparł marszałek — a bę-dzie li za co, poklonię się, darmo nie mogę, boby to wy-szło na żebraninę.

— Ja też przed Zamojskim się oczyszczać nie bę-dę, — rzekł Krzychnik — upokorzyłbym się nad-a-reminie. Przed królem co innego, nie będę się wstydał; musimy czekać. Pan Zamojski radby, widzę, przed we-selem wszystkich rozbroić, aby je swobodnie mógł ob-chodzić. Juści kto ma szczęście żenić się z synowicą króla swojego, wiele dla drugich uczynić może, gdy Pan Bóg mu daje to, czego nikomu pono nie wyśniad-czył. Dlatego jednak bacznym być na każdy ich ruch i krok nie zawadzi.

Ponieważ dla przyrzeczonej audjencji oddalać się im nie wypadało, a król na łowy do Niepołomnic po-jechał i dopiero na samo wesele powrócić obiecywał, dwaj Zborowscy nie mieli co w Krakowie robić, zmó-wili się do Piekar.

Dom siostrzenicy ich, wdowy, wesoły był, zawsze pełen gości, otwarty, a sama pani jeszcze wdzięczną twarzyczką i humorem przywabiała młodzież, tak że często i ze skrzypkami ją najeżdżano. A że Samuel rad tu bywał i przesiadywał, a pani Włodkowa gorąco go broniła, posądzano ich o ściślejsze może, niż były, sto-sunki. To pewna, że gdy do Piekar przybył, trudno go stąd było wyciągnąć, a poczynał tu sobie, jak w domu własnym...

Dwór był drewniany na podmurowaniu, obszerny dosyć, ale tyle razy dobudowywany, poprawiany, roz-szerzany, że nazewnątrz nieforemnie wyglądał. Rato-wało go to tylko, że drzewy, krzewami i kwiatkami do-kola był obrosły.

Lecz, żal się Boże było ogrodu i dziedzińca, gdzie tylu gości codzień zjeżdżało! Naprzód na podwórzu ludzie, konie i psy zostawiały po sobie tak wyraziste ślady, iż tu stróże raz w tydzień uprzątający je, nigdy nie mogli ich całkowicie zatrzeć. Zgartywano kupy

śmiecia pod stajnię, gdzie kury z folwarku przybywały grzebać i pożywiać się.

Nie o wiele lepiej było z drugiej strony w ogrodzie, kiedy goście czasem poobiednie godziny spędżali, nie-wiele się troszcząc o czystość i porządek. Ale to wszystko wegetację bujną pobudzało i krzewy a lipy bardzo się szeroko rozrastały.

Sama gospośnia na ogród nie miała czasu, gdyż albo zabawianiem gości swych, lub troską o przyjęcie zajętą bywała, przyczem dodać należy, iż śpiew a skoki lubiła bardzo, tańcom się oprzeć nie mogła. Dzieci też niedorosłych parka potrzebowała czujności.

Prawda, że oprócz gospodyn, fraucymer był nadzwyczaj liczny, co także dom dla młodzieży przyjemnym czyniło, bo zawsze szlacheckich dziewcząt kilka dorastających, ładnych i świeżych na dworze się znalazło. Gdy muzyka zagrała, one też szły do tańca i bywało ochoczo a wesoło jak mało gdzie, a kilkoro panienek zamąż wydała pani Włodkowa, choć kilku też nie poszczęściło się.

Na kuchni w Piekarach dzień i noc ogień nie schodził, warzyło się i piekło nieustannie, a nastarczyć było trudno, bo ci goście niespodziani, których u nas zwanego „panami z za morza“, mało którego dnia się nie stawili, a bywało ich podczas wcale nieoczekiwanych pięciu i więcej.

Życie tu płynęło bardzo swobodnie i wesoło, a choć grosza na nie wychodziło sporo, miała pani Włodkowa i po mężu majątkości i z siebie posag, — nie potrzebowała skąpić bardzo.

Marszałek i podczaszy, jadąc tu, nie oznajmywali się zawsze siostrzenicy, wiedzieli, że się dla nich miejsce znajdzie, a rada im będzie.

Zdala już w podwórzu konie i ludzie skupieni oznajmiali im, że gości zastaną, ale gościem, którego się tu wcale widzieć nie spodziewali (o nim się dopiero wszedłszy dowiedzieli), był Samuel.

Stęsknił się on za Włodkową i dnia wczorajszego przybył swe wyprawy niżowe jej opowiadać.

Gdy im szepnęła, że on tu jest, namarszczył się nieco marszałek, bo słyszał świeżo, iż kanclerz przestrze gał, aby jego jurysdykcji unikać. Zawsze z tą banicją rzecz była niebezpieczna, a choć Zamojski teraz lepsze okazywał usposobienie, oni mu niedowierzali.

Ale Samko wyszedł przeciwko nim z tak bohater ską postawą, tak pewien siebie, a tak rozochocony już, że mu nic mówić nie chcieli...

Nie było ludzi, którychby się strzec potrzebowali, zaraz więc pan Andrzej zagał o panu Janie i o jego bytności u kanclerza, powtarzając to, co z sobą przy niósł...

Zżymnął się Samuel.

— Ho! ho! — rzekł — do zgody rękę wyciąga! do zgody! Cóż to się ma znaczyć? Nowa zdrada chyba! Jeżeli który z panów braci ma ochotę im się kłańcać, nie wyjmując króla, wolna wola! Ja, nie... Mamy z Zamojskim i Batorym za długie lata rachunek nieskończony, a bodaj się z niego nam, nie im należy... Mu sieliby się dobrze opłacić, abym ja im rękę podał. U mnie jedno na myśli, — albo pomsta, lub z kraju precz jadę, kiedy oczy poniosą...

Żaden z dwu braci nie brał tak gorąco sprawy do serca, poczęli go mitygować, ale się nie dał.

— Waszmoście oba zobaczycie, — rzekł — że do mnie powrócicie, bo oni was oszukają. Ja przy swem stoję: króla sprzątnąć, a Zamojskiego ubić! Wówczas będzie wszystko skończone i Zborowscy cześć swą odzyskają i miejsca, które im należą, nie jakieś tam liche urzędy, z których kilku koni wyżywić trudno — a wstydu się najeść może dosyta cała rodzina. Pal ich djabli z ich zgodą!

Tak się rozpoczęła rozprawa, przy której piękna a żwawa Włodkowa, jako zawsze Samuelowi potakiwała, tak i teraz stronę jego trzymała. I ona się na zgodę żadną i na branie jałmużny nie zgadzała.

Podziało to tak na nieco zaledwie uspokojonego Krzychnika, iż i on przeszedł na ich stronę. Zaczem

języka już wstrzymać nie mógł i o truciźnie a o Fontanusie historię im opowiedział.

Tu dopiero powstał rumor niesłychany... Samuel Święcie wierzył w to wszystko, co Krzychnik przynosił, a to mu służyło do poparcia własnych przekonań.

Andrzej milczał i, jak zawsze, był ostrożny, nie zapędzał się za daleko.

— Macie najlepszy dowód ich dobrych dla nas chęci, — wołał Samko — w tem, że mnie się każe mieć na bacznosci, abym się w jego jurysdykcję nie ważył.

Więc cóż? Wziąłby mnie jako banitę, jak nieboszczyk ojciec Sanguszkę, i leb ściął? Niedoczekanie jego! Gdy wiem, co mnie czeka, wolę ja mu to samo zgutować... przyczem ani banicji, ani dekretu nie potrzebuję. Wyzwę go na rękę i zarąbię. Naówczas cała Rzeczpospolita, z pod jarzma tego uwolniona, podziękuje mi, bo mało co, a oni chłopską swą piechotą zauważają, a nam wszelkie swobody odejmą.

Wtem zwrócił się do Krzychnika.

— Wy chcecie do niegojść i o łaski się starać, próbujcie, ale pamiętajcie, że was to spotka, co Poniatowskiego, cześnika Łęczyckiego, na sejmie, szedł on do ucalowania ręki królewskiej, a król wzbronił się dać mu ręki i kolpaka przed nim nie uchylił, bo go znał sobie niechętnym. Ja się na to narażać nie myśleł!

Krzychnik zmilczał.

— Jabym się o pocahunek nie upominał, — rzekł pan Andrzej — byle mi ta ręka lepszy jurgiel wypiączyła. Kochać go za to nie jestem obowiązany, bo to grosz nie jego, ale ze skarbu Rzeczypospolitej. A tak dobrze, jak i drugim, on mi się należy. Na swoich Węgrów, ptaszników, sokolników, koniuszych, ba, psiarzy, na lutnistów, na wszelką gawiedź obcą ma pieniądz zawsze, dla nas go nie ma...

Królowej skąpią i trzymają ją, jak na łasce, dawszy jej mazowieckie piaski i lasy — ale na wesele, dla siostrzenicy, dla Bekieszów i nie wiem, jak zowiących się Węgrów jest zawsze poddostatkiem.

Skarb wyniszczyli zupełnie, a co się z temi skrzy-

niami stało, które Zygmunt August klejnotami nabite zostawił, dziś już nikt nie wie.

Tak szły narzekania jedne za drugimi, a w końcu każdego ustępu Samuel do tego powracał, iż póty dobrze nie będzie, dopóki się od Węgra z wilczemi zębami i od koźlích rogów nie oswobodzą.

— Niech panuje cesarz rakuski, niech car moskiewski, aby nie ten Węgier. Damy sobie z tamtymi radę, bośmy już wiele przebyli, tylko tego nie bywało, aby szlachcic króla opanował i pod jego imieniem rządził.

Chłopi powiadają, że niema gorszego pana jak z muzyka, a ja mówię, niema gorszego króla jak ze swoich i to z tych, o których wzoraj świat nie wiedział. *Homo novus* najgorsza rzecz, bo ten nic nie szanuje!

Krzychnik okrutnie gorąco potakiwał bratu.

— Dajmy Andrzejowi szczęścia u króla próbować, zobaczymy, co on wskóra. I tak nam działać nie pora. Na wesele damy im pokój, a po przenosinach zagramy do nowego tańca...

Samuelowi serce rosło.

— Zdajcie wszystko na mnie, — wołał — ja was i kraj wyzwolę...

Kończyło się zawsze na tem *delenda Carthago...* Zamojskiego się pozbyć. Na to on się ofiarował.

Tymczasem Włodkowa, która już o wszystkiem wiedziała, bo jej tu codzień coś ktoś przywoził, liczyła jak rejestru tych, co się pierwszego dnia w turnieju potykać mieli, i te wszystkie, jak je zwano wówczas, „*kunszty*“, z którymi się popisywać mieli przyjaciele kanclerza... począwszy od Mikołaja Zebrzydowskiego, Stanisława Mińskiego, Joachima Ocieskiego.

Wszystko już ona spenetrowała, nawet jak Cupido miał być ubrany i kto miał Czas reprezentować.

Smiano się z tego, że po uroczystościach weselnych Zamojski nie miał dokąd przenosić uczynić, tylko do pożyczanej sali na zamku, bo dworu własnego w Krakowie nie posiadał.

Tak przy bardzo dobrej myśli zwlokło się do wieczora, zwłaszcza, gdy ten i ów z sąsiadów przybył jeszcze, a każdy coś przywoził łakomej nowin gospo, która najbardziej się o to frasowała, aby w rynku mogła mieć okno, naprzeciw Spieglerowej kamienicy, aby wszystko widziała i nic jej oka nie uszło.

Późno w nocy wrócili ichmoście z Piekar na Franciszkańską ulicę, ale kasztelana zastali jeszcze nad listami, które ekspedjował. Ten im oznajmił, że kanceliera powtórnie u Myszkowskiego ks. widział i znalazły go dla siebie bardzo dobrze usposobionym. Z królem mówić w interesie rodziny jeszcze raz przyrzekł i swoje *bona officia* ofiarował.

Andrzej i Krzysztof spoglądali po sobie, ostatni jednak uśmiechał się niedowierzająco i nie chcąc drażnić, nie oponował, ale był pewnym, że dla niego i pana Samuela król łaskawym być nie zechce.

— Ja zaś trzymam, — odparł pan gnieźnieński — że kwoli tej uroczystości, której pragnął, łagodzić zechce i jednać wszystkich, z czego i my skorzystamy.

KONIEC CZĘŚCI PIREWSZEJ



